DZIWISZ – SKRUCHA PO KATOLICKU

FAKTY i MITACH

Nr 33 (309), 14 – 20 sierpnia 2026 r.



str. 19

fot. Montaż AI / Wikipedia



JEDENASTA EGIPSKA: Bóg pokarał ludzi T. Rydzykiem. Ten odwdzięczył się dając mu Radio Maryja, które stworzyło Rodzinę zdolną do przynoszenia swoim twórcom gór pieniędzy... (Darek Cychol, str. 2)



PLEMNIKI NIEZGODY: Władze Rosji są gotowe przyznać ojcostwo pośmiertnie. Nawet 5 lat po śmierci ojca... (Anton Arbatow, str. 14)

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT) ISSN 2719-5309 INDEX 434000 tygodnikfaktypomitach faktypomitach.pl

eprasa.pl ea5ad11293

Akademia absurdu



Jedenasta egipska...

Bóg pokarał ludzi T. Rydzykiem. Ten odwdzięczył się dając mu Radio Maryja, które stworzyło Rodzinę zdolną do przynoszenia swoim twórcom gór pieniędzy.

Powyższe – jeśli przyjąć ryzykowne założenie, że Bóg istnieje – udowadnia, że kocha on pieniądze bardziej niż ludzi, ale nie jest wszechmocny. Gdyby był, sprawiłby, aby w Kłodawie wydobywano co roku 800 tys. ton, ale diamentów, nie soli (roczna wartość produkcji – ok. 1,5 tryliona złotych), Wisłą płynęło roztopione złoto (temp. topnienia – 1 064,2 st. C), którego co 5 sekund byłoby tyle, że mogłoby ono wypełnić sanktuarium w Licheniu (przy kubaturze obiektu – 33 tys. m sześciennych dawałoby to 5,8 mln ton – 27 razy więcej niż wynoszą jego zasoby na świecie, a wartość tego kloca oscylowałaby na poziomie 3 biliardów złotych). Rozumiem, że skoro Jego syn jest królem Polski, a matka Jego dziecka królową Najjaśniejszej, powinien to zrobić, ale...

Skoro tego nie zrobił i woli karmić się „wdowim groszem", można przyjąć za słuszne to, co założyłem: nie jest wszechmocny, nie lubi ludzi i leci na pieniądze. Chcącym mnie pozwać za tę „obrazę ich uczuć" wyjaśniam, że drugi możliwy wniosek jest jeszcze smutniejszy: niewiele może, leci na kasę jak ja na piwo i nie tyle nie lubi ludzi, co ich nienawidzi zmuszając do wyrzeczeń na rzecz swoich snobistycznych zachcianek. Trzeci wniosek też jest oczywisty: Boga nie ma, co oznacza, że ci, którzy twierdzą, że działają w jego imieniu są hochsztaplerami (w najlepszym razie „pożytecznymi idiotami"), a wspierających im w tym hochsztaplerstwie polityków można nazywać kanaliami. Wybór wniosku pozostawiam Państwu.

Celebra szczęścia

Przed tygodniem (8.08) skrzyknęli się fani Tadeusza Rydzyka, by w ramach celebry dobrobytu składać Temu, którego nie ma, dziękczynienia za to, co jest i trafia do kasy tych, którzy przekonują, że to, co wyrywają, zbierają dla Niego. Formalnie spęd ten nazywa się Dziękczynieniem w Rodzinie. Czasy mamy dla katolickiego kleru dobre, ale nie tak, jak za PiS. O to, żeby nie działa mu się krzywda dba stado polityków posadowionych wszędzie: w rządzie, parlamencie, partiach współrządzących i opozycyjnych. Biznes dalej się kręci, majątek mnoży cudownie jak chleb pod Betsaidą. Żeby jednak biznes dalej się kręcił, prócz sprawnego zarządzania przez doświadczonych biznesmenów (np. kardynał G. Ryś), potrzebny jest też wizerunek; najlepiej cierpiętnika. No to jęczą, że odbiera się im miejsca pracy (kapelani, katecheci), ogranicza dopływ państwowych pieniędzy i – co najgorsze – uczy dzieci uważać na uczucia okazywane im przez sługi Pana B.

Interesowało mnie, jak przemówią bliscy T. Rydzyka, by specjalnie nie wychylać się politycznie, promować „dzieła", ale bez nachalnych próśb o więcej kasy. W relacji z „Dziękczynienia..." Radio Maryja i TV Trwam wyróżniły trzy wystąpienia (oddzielne pliki wideo), których treść jest oczywiście ze sobą kompatybilna.

Przepowiednie św. mędrców

Sukcesy Ojca Inkasenta świętował m.in. **bp Józef Szamocki** z diecezji toruńskiej. Nudził blisko 20 minut, ale na wysokim poziomie abstrakcji. Witając gości imprezy, wyraźnie podzielił ich, stawiając wyżej duchownych („ojców, którzy tworzą klimat tej rodziny", „ojca Tadeusza", „ojców, którzy zawiadują w radiu i telewizji"). Chwalił oddanie polskiemu Kościołowi, powołując się na autorytet duchownych, którzy wypowiedzieli wojnę swojej konkurencji, nazywanej przez niego siłami zła: „Gdybyśmy szli za strukturami zła, to bylibyśmy dzisiaj albo kolejną republiką radziecką albo, gdybyśmy nie daj Boże poszli za strukturą zła dzisiaj, to będziemy kolejnym landem wielkiego mocarstwa europejskiego". Oczywiście oddał cześć „rydzykowym dziełom": „telewizja, prasa, szkoły, akademia, miejsca pamięci naszej tożsamości (...). Tu zgłębiamy wiarę, tutaj dostrzegamy struktury dobra, które mają się przeciwstawiać i zwyciężały struktury zła". Mówił więc o wartości tego, czym zarządza Sztukmistrz z Torunia.

Zagadał też formalny szef T. Rydzyka, przełożony warszawskiej prowincji redemptorystów **Dariusz Paszyński**. Nudził bardziej przyziemnie i krócej, bo mniej niż 9 minut. Sens jego wystąpienia (oprócz „wdzięczności", „oddania" itp.) sprowadzał się do promowania myśli, że człowiek nie może działać sam. Dlatego też wsadził w rydzykowe struktury swojego człowieka. Sądząc po towarzyszących temu metaforach, Rydzyk nie podszedł do tej decyzji entuzjastycznie. Wygląda to trochę tak, jakby dostał swojego następcę, na którego wybór nie miał wpływu. To sygnał, że redemptoryści myślą o wymianie 81-letniego Inkasenta na nowszy model biznesmena.

Etyka biznesu

Całkiem przyziemnie bawił sam **Tadeusz Rydzyk** (ok. 15 min). Jest praktykiem i wie, że istotą biznesu nie jest bliskość z „Absolutem", lecz z tymi, którzy dzielą się z nim pieniędzmi. „Chciałbym serdecznie podziękować tym, którzy dbają o nasze zdrowie i są tutaj lekarze (...)". Lekarze (w tym specjaliści, profesorowie) udzielali darmowych porad, przez co przyjechać do Torunia chciało wielu wiernych, niewierzących zapewne w możliwość spotkania ze specjalistami NFZ. Pozytywny przykład z postawą lekarzy-wolontariuszy posłużył mu do drobnej złośliwości: „Nie myślmy, że każdy szpital to ten w Warszawie" – słusznie zauważył. „No, ale Warszawa to ma szczególne względy" – nie mógł sobie darować obdarowania szpilą R. Trzaskowskiego. Nie zapomniał o drobnych partnerach biznesowych: „Dziękujemy tym, którzy przyjechali z różnymi rzeczami, żeby tu sprzedać". Podprogowo zasugerował atrakcyjność cen: „Podróż ich pewnie więcej kosztowała". „Przypadkiem" zapewne podał swoje rekomendacje: „Pan Mieczysław z kożuchami". (Jego pojawienie się zapowiadał wcześniej na antenie Radia Maryja). Innym wyróżnionym przez niego towarem dostępnym pod świątynią był taki przywieziony przez „Pani z mężem Edwardem, państwo". Z uczuciem zachwalał to, co sprzedają, twierdząc, że sam tego używa i jest mu po nim lepiej. Nazwać tego nie potrafił, ale z opisu wynikało, że chodzi o poduszki i kołdry z runa alpak. „Bardzo to jest dobre" – zachwalał, zapewne podnosząc im sprzedaż, za co najpewniej mu się odwdzięczą hojnym „bóg zapłać" wpłaconym na któreś z jego dzieł. No i jak tu nie szanować toruńskiego biznesmena za lojalność w biznesie? Udzielił też jednego namaszczenia, choć trudno określić w jakim obszarze: „W Warszawie mamy wielu porządnych ludzi, łącznie z tym lekarzem, którego tam prześladują za to, co powiedział o tych nieprawidłowościach. To bardzo porządny człowiek. (...)". Oczywiście, wspomniał o potrzebach finansowych „dzieł", które stworzył, w postaci m.in. uczelni. Ich wagę podkreślał przywołując przykłady „stalinowców" i „hitlerowców", którzy posiadali wykształcone kadry, a przecież Rodzina Radia Maryja w niczym im nie ustępuje.

I absolutnie się z nim zgadzam. 4 maja 1935 r., podczas przemówienia do absolwentów akademii wojskowych Armii Czerwonej w Pałacu Kremlowskim, Józef Stalin trafnie zauważył: „O wszystkim decydują kadry" („*Кадры решают всё*"). Gdyby w nie nie inwestowano, nie zdołano by trzymać ludzi w wierze w to, czego nie ma, a co stworzyło T. Rydzyka.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Już 58 proc. Polaków nie jest zadowolonych z rządów Donalda Tuska – pokazał sondaż United Surveys. Kredyt zaufania premierowi nadal daje niecałych 36 proc. obywateli, reszta nie ma sprecyzowanego zdania. Tusk podpadł nawet części tych ankietowanych, którzy ogólnie deklarują chęć głosowania na któràś z partii tworzących dziś rządową koalicję – co prawda chodzi o mniej niż co dziesiątego wyborcę, ale jednak. Wśród wyborców prawicowej opozycji panuje niemalże stuprocentowa dyscyplina – kto popiera PiS i Konfederację, ten równocześnie nienawidzi Tuska.

***

Kolejny raz oko do prawicy puszcza tymczasem PSL. Wiceszefowa tej partii Urszula Pasławska zapowiedziała w programie „Gość Wydarzeń", że wspólnych list z Koalicją Obywatelską już nie będzie, bo PSL to partia konserwatywna i centrowa, a KO poszła mocno... w lewo. To już kolejny raz, gdy koalicjant zarzuca Tuskowi lewicowy skręt, a my nadal nie potrafimy dostrzec, gdzie ta lewicowość. Bo przeszła ustawa o PIP, która w minimalnym stopniu chroni pracowników przed nadużyciami? W sprawach praw kobiet czy osób LGBT+ panuje wszak, i to również za sprawą PSL, całkowita stagnacja... Podobnie jak w sferze kontaktów z Kościołem.

***

Przemysław Czarnek złożył w Trybunale Konstytucyjnym skargę na rozporządzenia Ministerstwa Edukacji Narodowej, na mocy których edukacja zdrowotna w nowym roku szkolnym będzie już przedmiotem obowiązkowym. Podobno przekazywanie dzieciom rzetelnej naukowej wiedzy o ich własnym ciele i zdrowiu łamie prawo rodziców do wychowania potomstwa zgodnie ze swoimi przekonaniami. Czarnek zarzucił ministrze Barbarze Nowackiej „obsesję na punkcie edukacji seksualnej", na co można by odpowiedzieć – przyganiał kocioł garnkowi. Jak wiadomo, prawdziwy Polak zdrowiem się nie przejmuje, a nauki o seksie przekazuje mu ksiądz; na plebanii.

***

10 lat odsiadki za przejechanie 200 metrów? To możliwe, gdy jazda odbywała się ciągnikiem z pługiem, a jej skutkiem jest zaoranie świeżo położonego asfaltu. 60-letni rolnik z Gliwic, znany w okolicy awanturnik i antybohater całej historii, uznał, że miejska droga to jego własność i że na żaden asfalt się nie zgadza. Nic to, że nowej nawierzchni oczekiwali od lat sąsiedzi. On asfaltu nie chciał i zamierzał jechać dalej, ale na drodze stanęły mu maszyny budowlane. Rajd został uznany za niszczenie mienia o wartości 400 tys. zł, stąd widmo wysokiego wyroku.

A.S.

eprasa.pl ea5ad11293

Zwierzchnik

Dla Karola Nawrockiego miniony rok był porażką.



W ten weekend, jak co roku od czasów ministra Błaszczaka, z ogromnym przepychem i wielką pompą będziemy świętować rocznicę „cudu nad Wisłą”. Młodszym rocznikom zapewne wydaje się, że to największy powód do chwały oręża polskiego – oczywiście na równi z Powstaniem Warszawskim i wyczynami żołnierzy wyklętych. Ostatecznie wiedzą, że lord Edgar Vincent d’Abernon uznał bitwę warszawską 1920 r. za osiemnastą najważniejszą potyczkę w dziejach świata. Nie wiedzą natomiast, że w ogóle nie był on historykiem, nie posługiwał się warsztatem akademickim i w związku z tym nie jest uważany za zawodowego badacza. Był dyplomatą, politykiem i finansistą, a w czasie wojny polsko-bolszewickiej – członkiem brytyjsko-francuskiej Misji Międzysojuszniczej w Warszawie. Jego książka, do której tak chętnie wbici w dumę się odwołujemy, jest tylko osobistym dziennikiem z tamtych czasów.

W Warszawie nadwiślańskimi bulwarami przeciągną więc kolumny najprzeróżniejszych pojazdów i przedefilują zastępy wojsk, nad głowami przelecą samoloty i śmigłowce (w tym roku pewnie też i drony, bo to one teraz przesądzają o losach bitew). Naród będzie upojony i uspokojony siłą jego państwa („nie oddamy ani guzika”), a rosyjscy wojenni analitycy będą śmiać się do rozpuku, bo przecież dobrze wiedzą, że stan uzbrojenia polskiej armii niewiele zmienił się od czasów Błaszczaka i jego poprzednika Macierewicza, czego symbolem są dwa zestawy Patriotów oraz trzy sztuki samolotów F-35.

Będą oczywiście także wystąpienia polityków. Wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, który teraz prowadzi wstępne poufne rozmowy z Donaldem Tuskiem, aby po wyborach zastąpić tego ostatniego na funkcji premiera (gdyby koalicja demokratyczna zdołała utrzymać większość), wypowie wiele podniosłych i pięknie brzmiących słów. Generalicja jednak swojego ministra wysoko nie ceni, uważa, że nie zna się na wojsku, choć pewnie prosto w oczy mu tego nie mówi. Ostatnio jednak w jednej z medialnych wypowiedzi gen. Polko nie gryzł się w język.

Dla Karola Nawrockiego będzie to zamknięcie pewnego cyklu. Rok wcześniej, 15 sierpnia 2025 r., wygłosił (a raczej wykrzyczał) swoją pierwszą poważną mowę – bo wystąpienie w Sejmie oraz inne w dniu inauguracji jego prezydentury były raczej ceremonialne, nawet jeśli pewne stwierdzenia zwiastowały późniejsze kłopoty. Rozpoczynając wojskową defiladę, wczuł się w rolę przywódcy (a nawet, bezpodstawnie, dowódcy). Obiecywał wspieranie Sił Zbrojnych, ich modernizację, a nawet „konstytucję dla bezpieczeństwa” (?). To, a także zdecydowany ton, jakiego nie używają cywilni politycy, musiało się wojsku spodobać. Zapamiętali bon mot, że głowa państwa nigdy nie będzie ich zachęcać słowem „Naprzód!”, że zawsze będzie krzyczał „Za mną!”.

Rok z Nawrockim

Do pewnego momentu ten flirt rozwijał się w najlepsze. Sam pisałem, że Nawrocki nie czekał, aż Kosiniak-Kamysz z Tuskiem zaproszą go do wykonywania kompetencji zwierzchnika Sił Zbrojnych, lecz to zwierzchnictwo wziął sobie, na nikogo się nie oglądając. Profesor Antoni Dudek, od lat przyglądający się młodszemu koledze historykowi w czasach pracy tegoż w Muzeum II Wojny Światowej oraz w IPN, i stanowczy jego krytyk, przewidywał dyskretne próby przeciągania wybranych dowódców na stronę nowego prezydenta. Coś na kształt obiadu drawskiego Lecha Wałęsy i ówczesnego szefa Sztabu Generalnego gen. Tadeusza Wileckiego. Nic z tych rzeczy. Nawrocki po prostu „przejął”, „kupił” całą armię od razu.

Po roku nic z tego nie zostało. Prezydent najbardziej podpadł wojskowym swoim wetem ustawy wdrażającej unijny program SAFE poprzez specjalnie w tym celu tworzony fundusz. Pieniądze i tak popłynęły – ustawa nie dotyczyła pożyczki, tylko technikaliów – ale zawiedzione zaufanie pozostało. Armia odebrała sprzeciw z Pałacu jako próbę podważenia jej specjalnej pozycji. Do niego dowódcy, oficerowie i żołnierze czuli się najważniejsi, a hasła o obronie Ojczyzny, poświęceniu, honorze nabrały nowego blasku. Dostają 185 mld zł, Borsuki, Kraby, wszystko, czego zechcą. Ale od rządu, wbrew prezydentowi.

Nawrocki też szczególnie się wojskiem nie zajmował i nie przejmował. Zabiega u swojego kolegi Donalda Trumpa o utrzymanie obecności amerykańskich jednostek w Polsce, najlepiej w formie stałej bazy; ale czy to się tak naprawdę podoba polskim wojskowym? (Czyt. str. 13). Ci starsi pamiętają z autopsji, a młodsi z opowiadań, jak to inna armia stacjonowała na naszym terytorium. Współpraca sojusznicza jest niezbędna, ale nasi dowódcy pewnie są gotowi wziąć odpowiedzialność za polskie bezpieczeństwo.

W rocznicę zaprzysiężenia przed Pałacem Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu urządzono specjalny happening, podczas którego głowa państwa miała pochwalić się osiągnięciami. Już sam ten fakt był przejawem megalomańskiej fanfaronady. Główny mówca tego wieczoru – sam zainteresowany – nie miał zbyt wiele do powiedzenia o minionych 365 dniach. Nic dziwnego: w zasadzie nie udało mu się nic z jego przedwyborczych obietnic. Nie doprowadził do żadnej przełomowej decyzji, wszystkie (pisane na kolanie, będące nie projektami nowego prawa, lecz propagandowymi wrzutkami) inicjatywy legislacyjne utknęły na mieliźnie. Jest prezydentem prawicowej połowy Polaków, nie całego państwa. Ale nawet na tym polu nie zrealizował najważniejszej, zdaje się, deklaracji – nie doprowadził do upadku rządu Tuska. (O obniżeniu cen prądu o 30 proc. też nie warto wspominać...).

Następnych 500 dni

Najgorsze jednak jest to, że Nawrocki w ogóle nie pojął, jaka jest jego konstytucyjna rola i odpowiedzialność. Nie zrozumiał, że nie jest jednym z partyjnych polityków, goniących za władzą. Bez wątpienia chce zbudować silny skrajnie prawicowy obóz, któremu by przewodził. Ale to powinien robić w czasie wolnym, po wykonaniu swoich obowiązków. Tymczasem zamiast umacniać państwo, osłabia je. Zamiast łagodzić spory i szukać kompromisów, wyostrza konflikty, dolewa oliwy do ognia. Nie jest arbitrem, lecz stroną politycznej wojny domowej. I wszystko to w niespokojnych czasach, gdy tuż za granicą trwa wojna, dronom i rakietom zdarza się wedrzeć w polską przestrzeń powietrzną, NATO słania się na nogach (z powodu działań kolegi Nawrockiego zza oceanu). Ratunku należałoby szukać w Unii Europejskiej, ale tej akurat nasz prezydent nie toleruje. Najchętniej by Rzeczpospolitą z niej wyprowadził.

Powinien sobie też wybić z głowy uchwalenie nowej konstytucji i zastąpienie ustroju demokratycznego systemem prezydenckim na wzór tego z kwietnia 1935 r. Nic nie zapowiada, aby blok radykalnych partii prawicowych zdobył w 2027 r. – a zapewne i w kolejnych dekadach – wystarczającą do tego większość. Szkoda pary w gwizdek.

Jednak kolejne wybory parlamentarne mogą ukształtować skład Sejmu i Senatu sprzyjający celom Nawrockiego. Przez najbliższy rok będzie on wspierał taki bieg wypadków. Możemy spodziewać się jeszcze większych awantur, kontynuowania praktyki wetowania ustaw ważnych dla rządu, a niekorzystnych dla wyborców prawicowych i Kościoła oraz innych, na oślep. Wszelkie próby naprawienia wymiaru sprawiedliwości, trwałego jego uniezależnienia od polityków będą blokowane. Będzie atakowanie UE, Brukseli, Berlina, Paryża, Zielonego Ładu (o Mercosur już się nie mówi, bo po wejściu w życie tej umowy unijny i polski import z Ameryki Południowej spadł, a eksport – wzrósł; nie odwrotnie). Będzie mrożenie stosunków z Ukrainą i podgrzewanie niechęci do Ukraińców przebywających w Polsce.

Przed nami niełatwy czas. Jeśli jesienią przyszłego roku nie powstanie rząd Bosaka, Mentzena, Kaczyńskiego, Morawieckiego i Brauna pod patronatem Karola Nawrockiego, w polityce krajowej przez kolejne dwa i pół roku czeka nas z grubsza to, czego doświadczamy obecnie. Jeśli zaś powstanie – dla prawicy hulaj dusza, piekła nie ma...

Jakub Jabłoński

eprasa.pl ea5ad11293

WIARA CZYNI CZUBA

Tanzania: pokazowa proteza

Vatican News ogłosił, że papież Leon XIV osobiście sfinansował protezę nogi dla mężczyzny, który stracił kończynę ratując księdza przed napastnikiem podczas mszy.

Constantine – bo tak nazywa się bohater – nie mógł pozwolić sobie na leczenie po ataku. Napisał więc list do papieża. W odpowiedzi Leon XIV zlecił watykańskiej Dykasterii ds. Posługi Miłosierdzia sfinansowanie protezy. Dykasteria dysponuje milionami dolarów z darowizn na rzecz papieża, a Tanzania to jeden z najbiedniejszych krajów świata, gdzie dostęp do protez i rehabilitacji ma tylko garstka szczęśliwców. Za pieniądze, które ma Watykan, dałoby się wyleczyć setki tysięcy takich „Constantinów". Tak spektakularny gest dużo łatwiej „sprzedać", a systemowa pomoc kosztuje dużo więcej.

Niemcy: wybory biskupa

Diecezja Hildesheim zaprosiła świeckich wiernych do zgłaszania kandydatów na nowego biskupa.

15 września br. kanonicy odprawią msze w ośmiu miastach diecezji, po których odbędą się rozmowy z wiernymi o procesie wyboru biskupa. Będą oni mogli zgłaszać nazwiska osób – indywidualnie lub w imieniu wspólnot – które trafią do ośmioosobowej kapituły katedralnej. Podobne konsultacje ze świeckimi przeprowadzono ostatnio też w Münsterze i Paderbornie. Nie ma jednak mowy o przełomie. Ostateczna decyzja i tak należy do garstki duchownych, którzy na mocy konkordatu pruskiego z 1929 r. przekazują listę nuncjuszowi, papież wskazuje trzech kandydatów, a kapituła dokonuje ostatecznego wyboru spośród nich. Świeccy dostają więc głos w sprawie, o której i tak zdecyduje ośmiu mężczyzn w koloratkach.

Watykan: niepotrzebny raport

Watykańska Grupa Studyjna nr 9 opublikowała raport ze świadectwami „żonatych" gejów. Dokument podważył grzeszność relacji homoseksualnych.

Grupa działa jako jedna z kilkunastu powołanych „do zbadania spornych kwestii doktrynalnych" w ramach Synodu o Synodalności. Część hierarchów przyjęła jej raport jako krok w stronę bardziej liberalnego Kościoła. Konserwatywni duchowni wpadli w szał. Teolog o. James McTavish pytał, gdzie w raporcie jest głos osób o skłonnościach homoseksualnych żyjących w celibacie. Katolicki apostolat Courage International – promujący czystość wśród osób homoseksualnych – posunął się dalej i stwierdzi, że treść dokumentu zniesławia Kościół. W odpowiedzi Sekretariat Generalny Synodu odciął się od własnego raportu. Nazwał go „jedynie dokumentem roboczym", którego nie można przypisywać sekretariatowi. Wygląda więc na to, że Watykan zamówił dokument, przeczytał go, przestraszył się własnych wniosków i udał, że nigdy go nie widział.

Kanada: kasa bez skruchy

Sąd Najwyższy Kolumbii Brytyjskiej zatwierdził ugodę na 30 mln dolarów po pozwie zbiorowym. Chodzi o nadużycia w dwóch katolickich szkołach w Vancouver.

Pozew dotyczył Vancouver College i St. Thomas More Collegiate prowadzonych przez irlandzkie Zgromadzenie Braci Chrześcijańskich. To ten sam zakon, który stał za zbrodniami w sierocińcu Mount Cashel w Nowej Fundlandii. W latach 50.-70. XX wieku dochodziło tam do masowego wykorzystywania seksualnego dzieci. To właśnie stamtąd część braci przeniesiono do szkół w Vancouver; czterech z nich skazano później, gdy w latach 90. wyszły na jaw zbrodnie z Mount Cashel. Do pozwu, obejmującego okres od 1976 do 2013 r., przyłączyło się ponad 200 osób. Arcybiskup Vancouver przyznał w zeznaniach, że kościelni przełożeni zawiedli – „przenosili sprawców z miejsca na miejsce" zamiast ich powstrzymać. Poszkodowani przyjęli ugodę, choć wielu wyraziło rozczarowanie. Kościół zgodził się zapłacić, ale nie przeprosił.



fot. YouTube / Screenshot

Hiszpania: dżinsowe zakonnice

Katolickie media znów zachwycają się „powołaniowym tsunami" zakonu lesu Communio, znanego z dżinsowych habitów.

Historia młodych zakonnic w dżinsowych habitach, prowadzonych przez charyzmatyczną s. Weronikę Berzosę, nazywaną współczesną Teresą z Avila, już od kilku lat wykorzystywana jest jako recepta na kryzys powołań. Katolickie media zachwycają się mniszką, która w 2010 r. przekształciła dwa podupadające klasztory klarysek w instytut liczący ok. 200 sióstr, z których żadna – poza założycielką – nie ma więcej niż 40 lat. W odróżnieniu od klauzurowych klarysek, siostry łączą kontemplację z otwarciem na świat: przyjmują świeckich gości i dzielą się świadectwem wiary. Dżinsowy habit jest marketingowym strzałem w dziesiątkę. Wierni zachwyceni nowym ubiorem siostrzyczek nie pytają o mechanizm rekrutacji nastolatek.

Hiszpania: biskup i tęcza

Około 500 nagich ochotników pomalowanych w barwy flagi LGBT stanęło przed katedrą Santa Ana w Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich. Miejscowy biskup nie miał nic przeciwko.

Akcja amerykańskiego fotografa Spencera Tunicka odbyła się w dzień święta patronki miasta Świętej Anny, w ramach festiwalu Culture & Business Pride 2026 – tuż przed rezydencją biskupa José Mazuelosa. O dziwo, hierarcha nie rozpalił stosu, a przez krótkofalówkę koordynował ze swojego tarasu ustawienia modeli. Zszokowani taką postawą dziennikarze „El País" pytali biskupa o jego podejście do osób LGBT. „Nie mam z tym problemu" – mówił Mazuelos i przekonywał, że akcja to dobry „marketing dla miasta". Czyżby Kościół grzmiał o grzesznej nagości i zwalczał LGBT, ale tylko wtedy, gdy nie koliduje to z pieniędzmi od turystów?

Chiny: partyjna spowiedź

Pekin wprowadził nowy kodeks postępowania dla duchowieństwa kat. Kościoła. Zobowiązuje on księży i siostry zakonne do publicznego popierania Komunistycznej Partii Chin.

Według dokumentu zatwierdzonego przez kontrolowane przez państwo Chińskie Katolickie Stowarzyszenie Patriotyczne, duchowni mają wspierać partię, wdrażać politykę religijną Pekinu i uczestniczyć w „sinizacji" katolicyzmu. Doktryna ma być interpretowana w świetle „socjalistycznych wartości podstawowych". Duchowni mają też zwalczać „herezje" i wpływy zagraniczne, a jednocześnie zachować skromność i unikać nepotyzmu.

W. Brytania: bunt mnichów

Diecezja katolicka w Aberdeen ekskomunikowała ojca Michaela Mary Sima – 72-letniego założyciela zgromadzenia Transalpine Redemptorystów z wysepki Papa Stronsay. Stało się to, gdy przyjął święcenia biskupie bez zgody Watykanu.

Zgromadzenie, obecne na wyspie od 1999 r., przyjęło stanowisko sedewakantystyczne, tzn. uznało, że ostatnim prawowitym papieżem był Pius XII, a wszyscy jego następcy to antypapieże. Sima konsekrowało trzech biskupów sedewakantystycznych – Kanadyjczyk, Brazylijczyk i Hiszpan – którzy swoją sukcesję biskupią wywodzą od wietnamskiego arcybiskupa Ngô Đình Thục, znanego z udzielania nielegalnych święceń poza kontrolą Rzymu. Biskup Aberdeen uznał Sima za winnego schizmy, nałożył na niego ekskomunikę, a wiernych diecezji wezwał do zerwania z nim kontaktu. Sim upiera się, że jego konsekracja jest „ważna ponad wszelką wątpliwość" – poświadczona linią sukcesji, której jednak Watykan nigdy nie uznał.

eprasa.pl ea5ad11293

POLETKO PANA B.©

TO BYŁ ZAMACH

Nie bądźmy naiwni, nie ulega wątpliwości, że rakieta miała zniszczyć elitę intelektualną naszego kraju. Pana prezydenta i jego doradców. To był nieudany zamach! Matka Boska i relikwie Boboli uratowały ojczyznę!" – to głos w katoprawackiej dyskusji na Facebooku, ochoczo „szerowany" (udostępniany – przyp. red.). Pomysł, że rosyjska rakieta, która spadła na pole rzepaku w Tarnawie-Kolonii w woj. lubelskim, wycelowana była w Nawrockiego i jego doradców – nazwanych w dodatku „elitą intelektualną" – poraża bezbrzeżnym idiotyzmem. Podobnie jak koncept, iż morderczą rakietę strąciła w rzepak Matka Boska. Nie ma jednak takiego idiotyzmu, który nie znalazłby tysięcy zwolenników, co z kolei prowokuje do reakcji ludzi zdrowych na umyśle i biznes się kręci. „Rakieta? Wystarczyłoby strzelić z korkowca" – kpi sobie z „elity naszego kraju" jeden z fejsbukowiczów.

DYSPENSA GRILLOWA

Zaciekawiło nas, dlaczego na pikniku stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego Rozwój Plus można było objadać się kiełbasą z grilla i innymi mięsnymi smakołykami, chociaż impreza odbyła się w piątek, a organizowali ją dewoci. I cóż się okazuje – były premier i jego współpracownicy uzyskali od księży zwolnienie z postu tego dnia, tzw. dyspensę! W końcu mają wielkie zasługi dla Kościoła: pałowanie uczestniczek czarnych protestów, rzeka pieniędzy dla podmiotów kościelnych, nieustająca indoktrynacja katolska. „Dla osób wierzących mamy ważną informację: na czas wydarzenia została udzielona dyspensa od obowiązku zachowania wstrzemięźliwości od spożywania pokarmów mięsnych. Można z niej skorzystać po spełnieniu zwyczajnych warunków, takich jak odmówienie krótkiej modlitwy w intencji Ojca Świętego" – zachęcali „harcerze". Po krótkiej modlitwie kiełbasa lepiej smakuje. „Boże chroń papieża Leona... mniam mniam".

PORUSZALI SIĘ Z CHORĄGWIĄ

Profanacja wizerunku świętego Jana Pawła II na festiwalu Jerzego Owsiaka" – szlocha Radio Maryja, nadając ton medialnej nagonce z udziałem polityków PiS. Co się stało? Na Pol'and'Rock Festival 2026 na lotnisku Czaplinek-Broczyno w woj. zachodniopomorskim „niezidentyfikowane osoby poruszały się z chorągwią przedstawiającą postać Papieża Polaka i w prześmiewczy sposób śpiewały *Barkę*"! Organizatorzy festiwalu, zamiast paść na kolana i przepraszać, nie odnieśli się do incydentu. To podgrzało protesty; np. poseł Michał Woś, z pochodzenia ziobrysta, napisał: „Dno dna". Przytomność umysłu wykazał katopublicysta Tomasz Terlikowski: „To, że wizerunek Jana Pawła II jest na festiwalu rockowym, że ktoś nim potrząsa, to nie jest profanacja. A jak naprawdę chcecie, żeby Jan Paweł II, który był z młodzieżą i umiał z nią rozmawiać, stał się dla nich już tylko symbolem obciachu, drętwej dewocji i histerii wokół każdego wykorzystania jego wizerunku, to róbcie więcej takich zadym".

CAŁUJ RYSIA

Dziecko klęka i całuje biskupa w rękę. W 2026 r. Na oczach tłumu. Z błogosławieństwem hierarchii. To nie jest tradycja. To nie jest szacunek. To jest publiczne upokorzenie dziecka w imię feudalnego kultu władzy" – pisze na Facebooku Jacek Fogiel. I dołącza zdjęcie: dostojnik kościelny w figlarnym czerwonym kapelusiku z muszelkami nadstawia upierścienioną rękę do pocałowania, klęka przed nim i składa na niej pocałunek 10-letni mniej więcej chłopiec w stroju góralskim. Spod kapelusza wygląda znajoma twarz w okularach: toż to kardynał Grzegorz Ryś! Podczas objazdu archidiecezji trafił na Podhale i „tradycyjnie" brata się z ludem. Z pobieranych w PRL lekcji religii wiemy, że biskupa – jak i papieża – nie całujemy w rękę, tylko w pierścień zawierający święte relikwie; stąd te czołobitne klęczki (i straszliwe zagęszczenie bakterii na pierścieniu). Lecz jeśli nawet Ryś, nadzieja progresywnego Kościoła, nie potrafi powiedzieć dziecku: „Wstań", to czego można oczekiwać po biskupiej konserwie?



WOJNA O GIETRZWAŁD

Rada gminy Gietrzwałd, jedynego w Polsce miejsca, gdzie Kościół katolicki uznał objawienia Matki Bożej, zatwierdziła plan ogólny mimo sprzeciwu obrońców tamtejszego sanktuarium. Plan próbowało zablokować ok. 40 osób z zewnątrz, bo według nich „zagraża kultowi". Tubylcy zarzucają przyjezdnym manipulację i rozpowszechnianie fałszywych informacji. Nie gryzą się w język: „Chodzą po wsi jak święte krowy, środkiem ulicy. Nie przestrzegają żadnych zasad ruchu drogowego, już kilka razy miałam przez to uszkodzone auto"; „Jeden pielgrzym parkował kamperem przy samej kaplicy na drodze krzyżowej, bo chciał się modlić prosto z auta"; „Przyjeżdżają na kilka godzin, zostawiają bałagan i jadą. A lokalny hotelik przez pół roku świeci pustkami". Ci sami „obrońcy", którzy wcześniej straszyli urojoną farmą fotowoltaiczną na błoniach, teraz zbierają podpisy pod petycją przeciw nieistniejącemu śmietnisku. Gietrzwałd to nie skansen dla weekendowych aktywistów – pisze Onet. To wieś, w której ludzie płacą podatki, jeżdżą do pracy i chcą normalnie żyć – a nie ciągle słuchać, że „niszczą sanktuarium", podczas gdy sami muszą omijać pątników idących środkiem drogi.

MIĘSISTE WARGI

W Radiu Gdańsk posłanka PiS Dorota Arciszewska-Mielewczyk straszyła okropnymi skutkami edukacji zdrowotnej w szkole. „Są dzieci, które chodzą do psychologów i psychiatrów! – perorowała. – Bo jeżeli mówi się o wargach sromowych, to niektórzy kojarzą to z surowym mięsem! Po takich zajęciach dzieci mają awersję do samego siebie, do współżycia. Nie chcą nawet spojrzeć na dziewczynkę". Rozumiemy, że posłanka woli nazewnictwo z katopodręczników: „źródło zapieczętowane", „instrument miłości". Czyż jednak wychowanie katolickie nie ma na celu zniechęcenia do współżycia aż do dnia ślubu? Ohydne „wargi sromowe" idealnie się do tego nadają... Tę samą co Arciszewska-Mielewczyk mentalność i ten sam poziom wiedzy mają posłowie PiS, którzy zaskarżyli do Trybunału Konstytucyjnego – czy raczej jego atrapy – obowiązkową edukację zdrowotną. W firmowanym przez Czarnka wniosku bredzą, że nowy przedmiot godzi w art. 18 konstytucji, tj. prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnym światopoglądem – mimo że moduł o zdrowiu seksualnym jest nieobowiązkowy. A Święczkowski, dopóki tkwi na nielegalnie zajmowanym stołku prezesa, orzeknie, czego tylko PiS sobie zażyczy.

WOKÓŁ ŚWIĘTOŚCI

Na ceremonii wręczenia sztandaru 18. Stołecznej Brygadzie Obrony Terytorialnej prezydent Karol „Nałroki" Nawrocki przemówił do generałów, oficerów i żołnierzy. Przed tym audytorium zaatakował rząd RP, który w myśl konstytucji kieruje polityką obronną, a następnie odwołał się do Pana Boga, niezawodnego sojusznika prawicy. Nawiązując do dewizy ze sztandarów Wojska Polskiego „Bóg, Honor, Ojczyzna", ogłosił, że „walka z Bogiem i z Kościołem katolickim jest walką z Wojskiem Polskim, bo żołnierze polscy zawsze gromadzili się i dziś też gromadzą się wokół tej świętości". To bezczelne rozpychanie się w kompetencjach dotyczących zwierzchnictwa nad armią, a także ustroju RP w ogóle (art. 25 ust. 2 konstytucji zobowiązuje władze publiczne do bezstronności światopoglądowej). Wiadomo jednak, że Nawrocki chce ten ustrój zmienić. Gdybyśmy mieli szukać analogii historycznych, bliskie mu są Włochy Mussoliniego. Podobnie też zadziera podbródek i wrzeszczy.

eprasa.pl ea5ad11293

Nr 33 (309) 14-20.08 2026 r. F!

Psia prowokacja

Instytut Myśli Pro-Life uruchomił petycję przeciwko nadużywaniu symboli religijnych przez firmę produkującą… smaczki dla psów.

Masz w domu sierściucha z matową sierścią? Nerwusa bojącego się fajerwerków? A może wiecznego łasucha z wrażliwym brzuszkiem? Mamy coś, co ich wszystkich ucieszy! Poznaj Zdrovaśki (…) Smaczny dowód na to, że każdy pies zasługuje na kawałek nieba” – czytamy na stronie polskiej firmy Zdrovaski.pl, oferującej naturalne suplementy dla psów.

Produkty reklamowane są zabawnymi opisami np.: „Niebiańska sierść i włosy”, „Zbawienie na trawienie” czy „Na stawy mocne jak diabli”. Na ich opakowaniach widnieją aureolki, diabelskie rogi i pies z łapami złożonymi jak do modlitwy. Instytut Myśli Pro-Life (IMPL) dopatrzył się w tym obrazy uczuć religijnych (art. 196 kodeksu karnego) i „zniekształcenia świętej modlitwy katolickiej”.



fot. Zdrovaski.pl

„Komercyjna profanacja”

„Dla milionów Polaków Najświętsza Maryja Panna, a także zanoszone do Niej modlitwy, stanowią świętość wymagającą najwyższej czci i poszanowania” – pisze nieżyczliwy psim smaczkom Instytut. Dodaje przy tym, że używanie symboliki religijnej do promowania produktów dla psów „stanowi formę komercyjnej profanacji” i „tworzy w przestrzeni publicznej przekonanie, że to, co najświętsze dla katolików, może być przedmiotem żartów i kpin”. Na swojej stronie organizacja uruchomiła już petycję obywatelską do właścicieli firmy (NIKOS Sp. z o.o. Sp. k.), domagając się: „natychmiastowego wycofania kampanii reklamowej produktów występujących pod nazwą Zdrovaśki”, „usunięcia nazwy *Zdrovaśki*” oraz wszelkich odniesień do wiary katolickiej z produktów firmy” i „złożenia przez producenta publicznego oświadczenia zawierającego przeprosiny skierowane do osób wierzących”.

„Ordo Iuris bis”

Instytut Myśli Pro-Life, organizacja istniejąca od kwietnia 2024 r., najwyraźniej próbuje dorównać pomysłowością Ordo Iuris. Prezes zarządu Dorota Jarczewska jest współautorką książki „Szkodliwość doustnej antykoncepcji hormonalnej”. W wywiadach („Przegląd Katolicki”, Stronazycia.pl) opowiada, że tabletki antykoncepcyjne działają „wczesnoporonnie”. Inna członkini IMPL Grażyna Bakunowicz zabłysnęła na XII Marszu dla Życia i Rodziny w Krakowie (2026), gdzie dzieliła scenę m.in. z Barbarą Nowak (byłą małopolską kurator oświaty z nominacji PiS, znaną z kontrowersyjnych wypowiedzi ws. LGBT i szczepień), przedstawicielami Młodzieży Wszechpolskiej oraz Bractwa Przedmurza. Określała wtedy życie prenatalne jako „genialny projekt”. Podpisała się też pod listem przeciwko wprowadzeniu edukacji zdrowotnej do szkół, kolportowanym w formie ulotek w kościołach.

Mimo krótkiego stażu, Instytut ma „bogaty dorobek” interwencyjny. Wystosował list otwarty do prezydenta ws. ułaskawienia Weroniki Krawczyk, skazanej za ostrzeżenie innej ciężarnej przed lekarzem dokonującym aborcji. Opublikował analizę prawną kwestionującą legalność działania placówki ułatwiającej dostęp do legalnej aborcji. Z kolei do posłów skierował apel przeciwko depenalizacji aborcji „na życzenie” do 12. tygodnia. Wisienką na tym torcie jest ogłoszenie konkursu plastycznego „Ja pod sercem mojej Mamy” dla przedszkolaków, które miały narysować „swoje wyobrażenie siebie na etapie życia prenatalnego”.

Z podobną gorliwością IMPL zbiera datki: „Będziemy mogli trwać w naszej walce o Prawdę wyłącznie wtedy, jeśli Państwo – nasi widzowie i Darczyńcy – będą tego chcieli” – czytamy w apelu. Dlaczego religijnemu oburzeniu i „walce o prawdę” zazwyczaj towarzyszą zbiórki pieniędzy? Czy to jedna z „tajemnic wiary”?

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Pakt, Ukraińcy i opera

Podlasie jest dobrym przykładem, jak sztucznie wykreowany lęk potrafi zamienić zwykłą sprawę administracyjną w wielką opowieść o zagrożeniu, migracji i obronie suwerenności.

Wystarczyło połączyć ośrodek dla ukraińskich uchodźców, unijny pakt migracyjny i 43 mln zł, o które zabiega Opera i Filharmonia Podlaska w Białymstoku.

52 uchodźców i jeden problem

W Wasilkowie od 2022 r. działa ośrodek zbiorowego zakwaterowania dla uchodźców z Ukrainy. W lipcu przebywały tam tylko 52 osoby, w tym starsze i z niepełnosprawnościami. Ich pobyt finansuje państwo. Wojewoda podlaski Jacek Brzozowski chciałby, żeby pieniądze na utrzymanie ośrodka dalej płynęły z budżetu centralnego, ale żeby za jego prowadzenie odpowiadał samorząd. Zdecydował przy tym, że ośrodek będzie działał do 5 marca przyszłego roku i nie będą do niego kierowani kolejni cudzoziemcy. Włodarze gminy, w tym burmistrz miasteczka Adrian Łuckiewicz, pokazali wojewodzie wała.

Władze Wasilkowa nie chciały przejąć obsługi placówki, wskazując na obciążenie urzędu i możliwe koszty. Ostatecznie podjął się tego Podlaski Urząd Wojewódzki. Wtedy do akcji wkroczył „pakt migracyjny”. Poseł PiS Sebastian Łukaszewicz uznał sytuację za możliwy „test” mechanizmu przyszłej relokacji migrantów. W ten sposób 52 uciekające przed wojną osoby stały się elementem politycznej opowieści o inwazji obcych w wykonaniu prawicy.

Bruksela – nie, pieniądze – tak

Jeszcze ciekawsza jest historia podlaskiego sejmiku. Radni przyjęli uchwałę sprzeciwiającą się unijnemu paktowi migracyjnemu. W tym samym czasie Opera i Filharmonia Podlaska starała się o 43 mln zł unijnego dofinansowania na modernizację sceny i nagłośnienia. Wniosek otrzymał negatywną ocenę. Jednym z elementów branych pod uwagę była wspomniana uchwała. Uchylono ją więc, wniosek ponownie przeanalizowano, a gdy pieniędzy nadal nie przyznano, opera i zarząd województwa skierowały sprawę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego.

Powstał więc polityczny paradoks: najpierw demonstracyjny sprzeciw wobec Brukseli, później uchylenie uchwały, gdy okazało się, że może mieć znaczenie dla unijnego finansowania, a na końcu walka o europejskie pieniądze.

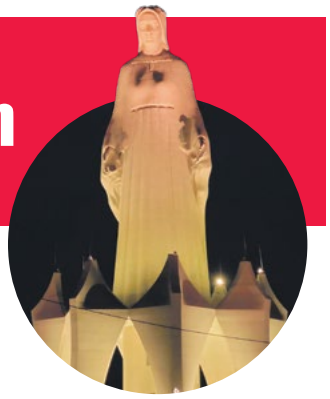
Polityczny teatr

Na jednej scenie znaleźli się więc uchodźcy z Ukrainy, pakt migracyjny, PiS, samorząd, wojewoda, sejmik, Bruksela i 43 mln zł dla opery. To więcej niż lokalna awantura. Widać tu cyniczny mechanizm, w którym najpierw produkuje się strach, potem wskazuje przeciwnika, a na końcu sprawdza, ile kosztuje konflikt z takim przeciwnikiem.

Politycy mogą kłócić się o uchwały i europejskie fundusze. Uchodźcy powinni jednak być poza tym przedstawieniem. Uciekli przecież przed wojną.

Wacław Jerzy Koniecpolski

Pomnik ekonomicznych nadziei



Gmina Kikół zaprasza na poświęcenie prywatnego pomnika Matki Bożej Miłosiernej, który powstał we wsi Konotopie pod Toruniem.

Uroczyste poświęcenie Monumentu Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu odbędzie się 15 sierpnia 2026 r. o godzinie 12:00 podczas Mszy Świętej pod przewodnictwem Księdza Biskupa Krzysztofa Wętkowskiego” – ogłosiła gmina Kikół na swojej oficjalnej stronie internetowej i w mediach społecznościowych.

Nowo wybudowany monument jest największym pomnikiem Matki Bożej w Europie. Łącznie ma 65 metrów wysokości. Składa się z postumentu z tarasem widokowym oraz górującej nad nim figury Matki Bożej. Rozmiarami przewyższył nawet posąg Jezusa w Świebodzinie. Budowę monumentu sfinansował miliarder Roman Karkosik, właściciel Grupy Przemysłowej Boryszew; podobno jako wyraz wdzięczności za odzyskane zdrowie.

– To jest serce Polski, miejsce, w którym naprawdę bije serce naszego kraju – mówił w rozmowie z „Financial Times” ks. Marek Mrówczyński, proboszcz parafii św. Wojciecha Biskupa i Męczennika w Kikole.

Wielu mieszkańców gminy faktycznie wierzy, że monument przyniesie regionowi nie tylko rozgłos, ale i korzyści ekonomiczne, głównie z turystyki. „Kikół nigdy nie dotarł do powszechnej świadomości tak skutecznie, jak dzięki tej uroczystości. Ta reklama warta jest miliardy…” – komentują.

Według szacunków serwisu „Architektura-murator”, koszt budowy pomnika wyniósł ok. 100 mln zł. To więcej niż cały roczny budżet gminy Kikół (65,6 mln zł).

Wanda Kwiecień

eprasa.pl ea5ad11293

Suplementy wiary

Jedni czczą swe bóstwa na kolanach, inni leżąc, jeszcze inni stojąc. Te zaś różnią się wielkością, kształtem, nazwą, a ponoć nawet możliwościami i sposobem objawiania. Czym więc religie różnią się między sobą?



Wszystkie wyznania jednoczy jedno: mają moc kompletnego zamraczania swoich wyznawców. A dokładniej, to ich demagogia ma moc mieszania myśli i zanieczyszczania szlachetnych idei. Samo bóstwo schodzi więc na plan dalszy. Nawet specjalnie nie trzeba znać doktryny religijnej (większość dobrych katolików, którzy co tydzień, w niedzielę siedzą w kościołach, o dziesięciu przykazaniach wie tyle, że jest ich dziesięć, i że coś tam mówią o zabijaniu i niezabijaniu). Trzeba tylko zapomnieć o krytycznym myśleniu i wielbić gorąco.

Popyt i podaż

We współczesnym świecie, kiedy o religijne uniesienia w średniowiecznym duchu coraz trudniej, mamy inne podniety. Trzeba współczesnym wyznawcom przyznać, że momentami mają ciekawe wybory. Dawne religijne fascynacje bywały krwawe, a uwielbienie świętych i chęć podążania ich drogą mogły okazać się dość nieprzyjemne. Umówmy się, w końcu opalanie na ogniu człowieka jak pieczeni czy zdzieranie z niego skóry nie brzmią dobrze, dlatego naśladowanie świętego i czczenie jego zakrwawionych śladów naprawdę może boleć.

Współcześni wyznawcy wolą bardziej kulturalne i przyjemne obrazy. Bywa, że nadal są religijne, wszak w XX wieku pojawiła się cała grupa wyspecjalizowanych hochsztaplerów, jak wielce święta Matka Teresa czy Ojciec Pio robiący karierę i pieniądze na słodkich minach i aureoli świętości oraz poświęcenia. I nieważne, że niczego nie poświęcali ani w niczym nie pomagali. Liczą się przecież „piar” i reklama, a ci potrafili sobie je zorganizować. Grunt, żeby ludzie pragnący religijnych uniesień dostali uwspółcześnioną wersję miłości bożej i obrazu świętości.

Bogowie naszych czasów

W zlaicyzowanej popkulturze rządzą wzorce konsumenckie, jednak ludzie nadal potrzebują bóstw i świętości. Powstał więc panteon na miarę tych popkulturowych potrzeb. Dlatego modlitwy zanoszone są do świętych idoli życia sportowego lub bóstw z hollywoodzkiego panteonu. To nieprzytomność, wręcz mgła mózgowa, gdy zwykłemu śmiertelnikowi uda się spotkać swojego boga – idola. To podniecenie i drżenie rąk, potrzeba nie do powstrzymania, by podejść do bóstwa, oddać mu cześć, pokłonić się nisko, dostać autograf, zrobić sobie selfi – ma religijny charakter. Onieśmielony wyznawca, z uniżonością odpowiednią dla wielkości bóstwa, już o świcie ustawia się i czeka w nieprzytomnym podnieceniu. A nuż uda się i dotknie bogów sunących po czerwonym dywanie. A nuż się uda i bóstwo do niego właśnie mrugnie, uśmiechnie się lub nawet przemówi.

Boże igrzyska

W tym świeckim świecie uwielbienia istnieją, rzecz jasna, religijne rytuały i afirmacja bytu najwyższego. Mundiale, festiwale filmowe, rozdawanie nagród (złote globy, piłki i inne trofea zdobiące bóstwa i ukazujące ich moc). Wówczas wierni z całego świata śledzą, kto się pojawił na „Olimpie”, kto jak wyglądał, kto co dostał i oczywiście za co. Może to być doskonała gra w piłkę albo na planie filmowym. Talent i ciężka praca bóstw gdzieś umykają rozmodlonym; widzą w nich tylko nadludzką siłę. Dlatego celebracja „boskich dokonań bóstw” wydaje się wyznawcom najważniejsza.



Ochrona uczuć

W religijnym szale jest coś, co łączy wiernych Staremu Testamentowi, Nowemu Testamentowi, Koranowi i tych, o których pisze prasa (sportowa, muzyczna) albo portale plotkarskie. Bóstw i bogiń z wybiegów, ekranów czy boisk nie wolno ruszać; tak jak tych z kart przywołanych „świętych” ksiąg. Nie waż się człowieku mówić o nich źle! Szanuj, kochaj i zapomnij o krytyce.

Z tymi współczesnymi, popkulturowymi bóstwami jest jednak troszkę inaczej niż z „księgowymi”; można rzec, że bardziej demokratycznie. Dlaczego? Bo to sami wyznawcy swoich bogów mogą ich zrzucić ze swoich ołtarzy, zastępując nowymi: młodszymi, ładniejszymi, potrafiącymi szybciej biegać, bić, kopać, śpiewać, pluć, mających ładniejsze tatuaże lub zabawniej mówiących. Lud więc kocha swoich bogów sezonowo. Jak była Radwańska, to jej imię było święte, jak jest Świątek, to niech nikt nie śmie wymawiać jej imienia bez szacunku. Ciężka praca i talent tych zawodniczek umykają lub stają się sensacją, jak ćwiczenia Igi Świątek z zasłoniętymi ustami. Cały świat mediów to komentował, a wielu na kortach mdlało próbując naśladować swoją boginię. Ślepota na to, co ludzkie – pracę fizyczną, lata wyrzeczeń, samozaparcie, niezwykłą siłę charakteru, talent – umykają w boskim uwielbieniu. Dlatego tak trudno przyjąć, gdy bóstwo nie dokona tego, co mu przynależne: „cudu” zwycięstwa. Wówczas fani mogą albo wypierać ten brak sukcesów, albo złorzeczyć swemu bogu i się od niego odwracać. Miłość wyznawców w czasach popkultury jest krótka i dla wielu idoli bolesna.

Profani

Czasami zdarzają się też obrazoburcy, zrzucający bóstwa z piedestałów. To ludzie niebezpieczni dla wyznawców. Tłum wiernych sam może zrzucić swojego boga z ołtarza, ale niech inni nie śmią tego robić! Krytyka bóstwa od razu doczeka się fali agresji i bezpardonowego hejtu w obronie najświętszego i najukochańszego idola-boga-cudu. Nie należy tylko mieć złudzeń: ci sami, którzy hejtują w obronie bożka lub bogini, sami mogą zacząć niszczyć swe bóstwa, krytykując jego blednący blask i z czasem rozbić jego aureolę.

Człowiek to bardzo dziwna istota. Wyewoluował z pokaźnym mózgiem, dającym mu duże możliwości racjonalnego, krytycznego myślenia. W darze od ewolucji dostał również emocje i potrzebę przynależności. Te czynniki pozwoliły nie tylko budować społeczeństwa i ich instytucje, ale również religie. Pech polega na tym, że religie, jak wirus, infekują racjonalne myślenie, i to na całe pokolenia. Dlatego ludzie, gdy braknie im żarliwej wiary w bogów oferowanych im przez kościoły, szukają zamienników.

Zabójcy bóstw

Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie odbijało się na naszym życiu społecznym. Czciciele stają się bowiem bardzo nerwowi i skorzy do walki, gdy tylko ktoś popatrzy krzywo na ich bóstwo. Sam idol też łatwo może stać się znienawidzony przez swoich wyznawców. To mieszanka niebezpiecznych emocji, które należałoby studzić racjonalnym myśleniem. To również narażanie człowieka wyniesionego do godności bóstwa na nieustanne ataki ze strony malkontentów i „ekspertów” od codzienności, bo wiedzą lepiej. Taki „świecki teolog” nigdy nie stał na korcie, ale będzie widział wszystko, co złego robi jego bogini – Pani Świątek. Nigdy nie stanął przed kamerą, ale wie, że starość przeszkadza Bradowi Pittowi w dobrej grze, bo… brzydko się starzeje. Najbardziej kochani są też najbardziej hejtowani. I to chyba największe zło religijnego myślenia, bo przenosi się na życie społeczne: uświęca, tworzy panteony uwielbienia, po czym je niszczy.

Gdy w świecie katolicyzmu uspokoiło się nieco i polowania na czarownice przestały być legalne, pojawiła się nowa forma religijnego życia: kult bóstw popkulturowego panteonu. Dzisiaj świecka inkwizycja pilnuje nas w sieci i zawzięcie prześladuje za każde odejście od kultu i jego właściwego wymiaru. Co równie złe i nieprzyjemne, same bóstwa też są na cenzurowanym i mogą dostać po głowie za to, że nie spełniają oczekiwań. Irracjonalność kłótni i szerzenie sporów to współczesne dziedzictwo religijnego myślenia.

prof. Joanna Hańderek

eprasa.pl ea5ad11293

Pytania dotyczące Biblii (252)

O wniebowzięciu NMP



15 sierpnia Kościół rzymskokatolicki obchodzi uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Głosi, że Maria pierwsza osiągnęła zbawienie i jako wniebowzięta stała się również wizerunkiem Kościoła w chwale.

Nasuwa się jednak pytanie: jak to jest, że katolicy wierzą w coś, o czym nie mówią ani ewangelie, ani pozostałe pisma „apostolskie”? Jak to jest, że Maria zajmuje tak szczególne miejsce w liturgii Kościoła, skoro imiennie wspomina się ją tylko raz w Dziejach Apostolskich, które podają jedynie, że po wniebowstąpieniu Jezusa z Góry Oliwnej (Mateusz umieszcza to wydarzenie w Galilei – Mt 28,7.10.16, por. J 21,1) apostołowie i inni zgromadzili się w Jerozolimie na „modlitwie wraz z niewiastami i z Marią, matką Jezusa, i z braćmi jego” (Dz 1,14)?

Maryja w Kościele

Cóż, chociaż odpowiedź na te pytania wydaje się oczywista, bo temat ten był już przeze mnie podejmowany, warto jednak przypomnieć, że kult Marii rozwinął się dopiero po soborze efeskim (431 r.), kiedy sformułowany został pierwszy dogmat maryjny określający ją Bożą Rodzicielką (*Theotokos*). Kościół twierdzi bowiem, że Maryja urodziła Jezusa, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka w jednej osobie. Wierzy również w wieczne dziewictwo Maryi, co potwierdzone zostało oficjalnie w 649 r. na synodzie laterańskim; w jej niepokalane poczęcie, czyli zachowanie jej od grzechu pierworodnego, które ogłoszone zostało w 1854 r. przez papieża Piusa IX, a także we wspomnianą już doktrynę o wniebowzięciu z ciałem i duszą, która została zdogmatyzowana w 1950 r. przez papieża Piusa XII w Konstytucji apostolskiej *Munificentissimus Deus*, w której czytamy:

„Oświadczamy, stanowimy i wyrokujemy, iż jest dogmatem objawionym przez Boga, że Niepokalana Bogurodzica zawsze Dziewica Maryja po zakończeniu ziemskiego życia wzięta została z ciałem i duszą do chwały niebieskiej. Dlatego, jeśliby ktoś – czego oby Bóg nie dopuścił – poważył się dobrowolnie przeoczyć lub podawać w wątpliwość to, co orzekliśmy, niechaj wie, że całkiem odstąpił od Boskiej i katolickiej wiary”.

Bezpodstawny dogmat

Oczywiście, jest na odwrót, bo dogmat ten nie ma nic wspólnego ani z Bogiem, ani z wiarą Jezusa. Co ciekawe, nikt nawet nie ma pewności, gdzie Maria umarła i gdzie jest jej grób. Zazwyczaj wskazuje się dwa miejsca, w których mógł on się znajdować, jedno w Jerozolimie, drugie – w Efezie. Skąd ta niepewność? Ponieważ w pierwszych czterech wiekach w ogóle nie interesowano się ani śmiercią, ani miejscem pochówku Maryi. Stąd też zarówno prawdziwe miejsce posadowienia jej grobu, jak i okoliczności jej śmierci... są nieznane.

Wierni Kościoła katolickiego (i nie tylko) wierzą więc w coś, czego nie da się w żaden racjonalny sposób wyjaśnić. Bo skoro nawet o ziemskim życiu, śmierci i miejscu pochówku nic pewnego nie wiadomo, bo milczy o tym tradycja apostolska, a nawet ojcowie Kościoła pierwszych pięciu wieków, to jak wierzyć we wniebowzięcie Maryi oparte na rzekomo objawionym przez Boga dogmacie? Zwłaszcza że aż do V wieku zagadnieniem końca życia Maryi – jej „zaśnięcia” – zajmowały się jedynie Kościoły wschodnie, a decydujący wpływ na rozwój nowej doktryny miały głównie wierzenia ludowe oraz apokryfy, szczególnie apokryf z V wieku znany jako *Transitus Mariae*. Warto jednak przypomnieć, że ówczesny papież Gelazy I (492-496) odrzucał wszelkie apokryfy, które mówiły o rzekomym wniebowzięciu Maryi. Aż do w VII wieku Kościół na Zachodzie wierzył więc po prostu, że Maria umarła.



Wierni Kościoła katolickiego wierzą w coś, czego nie da się w żaden racjonalny sposób wyjaśnić. Bo skoro nawet o ziemskim życiu, śmierci i miejscu pochówku nic pewnego nie wiadomo, (...), to jak wierzyć we wniebowzięcie Maryi oparte na rzekomo objawionym przez Boga dogmacie?

Bezsprzeczne fakty

„Dopiero w VII wieku dochodzi do sformułowania tej nowej doktryny, a dokonują tego – opierając się na opowieści z V wieku, legendzie zwanej *Transitus* – teologowie (...). Pierwszym znanym świadkiem funkcjonowania owej legendy jest zresztą *kacerz*, gnostyk imieniem Leucius. Ponadto jej najstarsza wersja opowiada tylko o tajemniczym zniknięciu zwłok Maryi, ale nie wspomina o znalezieniu się w niebie. Co więcej, najwcześniejszy rzymski *indeks ksiąg zakazanych, Decretum Gelasianum* – dekret synodalny, który jako decyzja papieska został włączony do średniowiecznego kodeksu prawa kanonicznego – w ostrym tonie dyskredytuje tamtą legendę. W brewiarzu Kościoła katolickiego przez wiele stuleci figurowały ostrzeżenia przed domniemywaniem cielesnego wniebowzięcia Maryi. Owe przestrogi, wygłaszane rokrocznie w święto wniebowzięcia Maryi, usunął z rzymskiej liturgii dopiero szesnastowieczny papież Pius V; we Francji zrezygnowano z nich jeszcze później, bo pod koniec XVII wieku” (Karlheinz Deschner, „I znowu zapiał kur”, t. I, Gdynia 1996, s. 484).

Nie jest więc prawdą – jak głoszą teologowie katoliccy – że doktryna o wniebowzięciu Maryi była powszechnie wyznawana w Kościele katolickim. Przeciwnie. Przez wszystkie wieki, począwszy od papieża Gelazego I, który odrzucał wszelkie baśnie o wniebowzięciu Maryi zawarte w apokryfach aż po czasy, kiedy ogłoszony został dogmat o jej wniebowzięciu (1950 r.), doktryna ta miała wielu przeciwników w łonie samego Kościoła katolickiego, o czym ks. Jerzy Bajorek pisze tak: „Po stronie rzymskokatolickiej przeciw dogmatyzacji byli teolodzy, którzy mieli wątpliwości co do sposobu przeprowadzenia dowodu za przyjęciem prawdy o Wniebowzięciu: M. Jugie z Francji, B. Altaner oraz profesor z Münster Poschmann.

M. Jugie i Altaner byli zgodni co do tego, że ani Biblia, ani Tradycja, ani wiara ludu Kościoła nie dają wystarczających dowodów zasadności dogmatu. Altaner wskazał jeszcze na jeden istotny moment: spekulatywne wywody dogmatyków nie wystarczają, by wniebowzięcie można było wynieść jako niezbędny myślowo, a przez to udowodniony korelat do już ustalonych dogmatycznie przywilejów” („Mariologia biskupa Franciszka Hodura”, Świdnica 2007, s. 73).

Daremna wiara

Czy w świetle tych faktów, braku prawdziwych informacji nawet o śmierci Maryi oraz miejscu jej pochówku, rozsądnie jest opierać wiarę na podaniach ludzkich, legendach i baśniach? Czyż sam Jezus nie odnosił się krytycznie do tradycji? Czyż nie za to właśnie ganił uczonych w Piśmie, mówiąc: „Daremnie mi jednak cześć oddają, głosząc nauki, które są nakazami ludzkimi” (Mk 7,7)? Czy podobnie nie mówi List św. Piotra, w którym czytamy: „Z chciwości wykorzystywać was będą przez zmyślone opowieści” (2 P 2,3)?

Wychodzi na to, że ostrzeżenia te nic nie znaczą dla hierarchów katolickich; że już dawno „opuścili drogę prostą, zbłądzili i wstąpili na drogę Balaama (...), który ukochał zapłatę za czyny nieprawe” (2 P 2,15). Szkoda tylko, że także dla większości katolików bez znaczenie jest fakt, że ewangelie nic nie mówią ani o wniebowzięciu Maryi, ani o jej najściślejszym związku z Jezusem, ani również o tym, aby Maria miała udział w odkupieniu świata i jako pierwsza osiągnęła zbawienie. Cóż, każdy ma prawo wierzyć w co chce, tyle tylko, że wiara sama w sobie, tym bardziej wiara sprzeczna z nauczaniem Jezusa, nie ma żadnej wartości. Zwłaszcza że ewangelie ukazują wyraźny dystans Jezusa do Maryi. Powiedział przecież: „Matką moją i braćmi moimi są ci, którzy słuchają Słowa Bożego i wypełniają je” (Łk 8,21).

Jedno zatem nie ulega wątpliwości, dogmat o wniebowzięciu Maryi jest wyłącznie wynikiem spekulacji teologicznych opartych na apokryfach, „pobożności” ludowej i wcześniejszych dogmatach maryjnych – sprzecznych z Biblią!

Bolesław Parma

eprasa.pl ea5ad11293

Równi i równiejsi

Brytyjskie państwo zapewnia, że każda wspólnota religijna zasługuje na taką samą ochronę. Praktyka jest nieco inna.

W debacie o bezpieczeństwie religijnym prym wiodą Żydzi i muzułmanie. Chrześcijanie, sikhowie, hinduiści i przedstawiciele innych religii zazwyczaj zostają w tyle. Nie dlatego, że nie są atakowani. Po prostu ich problemy rzadziej zamieniają się w ogólnokrajowy alarm, osobny program rządowy i wielomilionową pozycję w budżecie.

Podpalenie w marcu 2026 r. czterech karetek żydowskiego pogotowia Hatzola w Golders Green pokazało, jak szybko brytyjskie państwo potrafi uruchomić policję, ministrów i publiczne pieniądze, gdy uzna zagrożenie za wystarczająco poważne. Pytanie brzmi: czy działa równie sprawnie, gdy zagrożona jest inna wspólnota?

Dwa standardy

Niektórzy przedstawiciele organizacji muzułmańskich twierdzą, że państwo ma dwa systemy bezpieczeństwa: gdy zagrożona jest synagoga, szkoła żydowska albo żydowskie centrum społeczne – reakcja władz jest szybka, zdecydowana i hojna. Gdy ochrony potrzebuje meczet – zaczynają się formularze, procedury, odmowy i wielomiesięczne czekanie.

Nagrania z monitoringu pokazały zamaskowanych sprawców, którzy w środku nocy podpalili cztery karetki. Trzy pojazdy spłonęły doszczętnie, czwarty został poważnie uszkodzony, a wybuchy butli tlenowych wybiły szyby w sąsiednim budynku mieszkalnym. Zarzuty postawiono pięciu osobom. Państwo zareagowało natychmiast. Już następnego dnia London Ambulance Service przekazało Hatzoli cztery pojazdy zastępcze. Rząd zapowiedział, że pokryje zakup nowych karetek, a kilka tygodni później przyznał pieniądze na cztery pojazdy elektryczne.

Po kolejnych antysemickich atakach zwiększono liczbę patroli i uruchomiono największą w historii londyńskiej policji operację ochronną. W lipcu rząd ogłosił trzyletni pakiet wart 251 milionów funtów (1 mld 258 mln zł – przyp. red.). Ma on zapewnić między innymi ponad pięciuset dodatkowych funkcjonariuszy w żydowskich dzielnicach oraz wokół synagog, szkół i centrów społecznych.

Alarm i poczekalnia

W Wielkiej Brytanii sygnał o antysemickim zagrożeniu działa jak dzwon alarmowy. Politycy, urzędnicy, policja i media błyskawicznie stają na baczność. Nikt nie chce być tym, który zlekceważył niebezpieczeństwo grożące żydowskiej społeczności.

Za tą szybką reakcją stoją wyjątkowo sprawne struktury. Potrafią one natychmiast odnotować incydent, dostarczyć mediom informacje, dotrzeć do ministrów i zamienić alarm w decyzje polityczne oraz pieniądze z budżetu. Utrudnia to porównywanie statystyk. Jedna społeczność ma rozbudowany system rejestrowania incydentów, druga nie dysponuje równie sprawnym mechanizmem. Nie wiadomo więc, na ile liczby pokazują skalę zagrożenia, a na ile sprawność jego zgłaszania.

Zupełnie inną rzeczywistość brytyjskich muzułmanów opisuje Akeela Ahmed, szefowa British Muslim Trust – organizacji wyznaczonej przez rząd do monitorowania i zwalczania nienawiści antymuzułmańskiej. W ciągu dwunastu miesięcy odnotowano ponad siedemdziesiąt incydentów wymierzonych w brytyjskie meczety – od gróźb i nękania po wandalizm, przemoc i podpalenia. Mimo to niektóre wspólnoty czekały na ochronę albo pieniądze na nią nawet osiemnaście miesięcy. Inne otrzymywały odmowy bez wyraźnego uzasadnienia.

– Meczety czekają miesiącami, żyjąc w strachu przed kolejnym atakiem, ponieważ system jest zakorkowany – mówiła Ahmed.

– Meczet jest narażony już przez sam fakt, że jest meczetem – przekonywała.



Kontrast trudno przeoczyć

Żydowskie karetki podpalono w nocy, a następnego dnia państwo miało już gotowe rozwiązanie. Tymczasem administratorzy zaatakowanego meczetu mogą w kolejnych miesiącach przekonywać urzędników, że naprawdę potrzebują kamer, alarmu, ogrodzenia czy ochroniarzy.

Na pierwszy rzut oka liczby zdają się potwierdzać istnienie dwóch standardów. W lipcu rząd ogłosił trzyletni pakiet wart ponad ćwierć miliarda funtów na bezpieczeństwo społeczności żydowskiej. Program ochrony meczetów i innych placówek muzułmańskich przewiduje natomiast do 40 milionów funtów w roku budżetowym 2026/27. Tyle że takie zestawienie jest mylące.

Pakiet dla społeczności żydowskiej obejmuje przede wszystkim działania policji: ponad pięciuset dodatkowych funkcjonariuszy, więcej patroli, krajową koordynację, szkolenia oraz wsparcie policji antyterrorystycznej. Nie są to więc po prostu pieniądze na ochronę synagog. Program dla placówek muzułmańskich finansuje głównie zabezpieczenia konkretnych obiektów: kamery, alarmy, bramy, ogrodzenia i ochroniarzy. Jeżeli porównać tylko środki przeznaczone na ochronę miejsc kultu i instytucji społecznych, obraz wygląda inaczej. W tym samym roku rząd przeznaczył do 40 milionów funtów dla placówek muzułmańskich oraz 32,4 miliona dla synagog, szkół żydowskich i innych instytucji społeczności żydowskiej.

Różnica tkwi w konstrukcji systemu. Żydowskie placówki korzystają z gotowego mechanizmu obsługiwanego przez Community Security Trust (CST – organizację charytatywną zajmującą się bezpieczeństwem brytyjskich Żydów), podczas gdy meczety składają wnioski bezpośrednio do Home Office.

Nie chodzi więc tylko o to, ile państwo wydaje, lecz o to, kto potrafi uruchomić te pieniądze natychmiast, a kto najpierw musi udowodnić, że na nie zasługuje.

Mniej, ale więcej

Według ostatnich spisów, w Wielkiej Brytanii mieszka około czterech milionów muzułmanów i niespełna 300 tys. Żydów. Wyznawców Allaha jest więc ponad trzynaście razy więcej, ale sama liczba niewiele mówi o tym, jak państwo rozdziela ochronę.

W kraju działa około 1 900 meczetów, a razem z muzułmańskimi salami modlitwy – ponad 2 100 miejsc kultu. Ostatnie kompleksowe zestawienie Institute for Jewish Policy Research z 2016 r. wykazało 454 synagogi. Dane pochodzą z różnych lat, ale skalę pokazują wystarczająco dobrze. Sama dysproporcja nie jest jeszcze dowodem nierównego traktowania. Ochrony nie rozdziela się tylko według liczby wyznawców, lecz także według skali zagrożenia. A pod tym względem społeczność żydowska jest znacznie bardziej narażona. W Anglii i Walii w minionym roku na 10 tys. Żydów przypadało 106 przestępstw z nienawiści religijnej, podczas gdy wśród muzułmanów – 12. W przeliczeniu na mieszkańca Żydzi byli więc celem niemal dziewięć razy częściej.

Fundusz kontra system

Ponad dwa tysiące meczetów i miejsc modlitwy przebija się przez system pojedynczo: każda placówka składa własny wniosek, zbiera dowody i czeka na decyzję Home Office. Niespełna 300 tys. Żydów ma natomiast organizację, która od lat siedzi przy jednym stole z policją oraz rządem i wie, do których drzwi zapukać.

Community Security Trust (CST) rejestruje incydenty, analizuje zagrożenia, szkoli ochroniarzy i wolontariuszy oraz uczestniczy w obsłudze państwowego grantu. Synagoga albo szkoła korzysta więc z gotowego mechanizmu, który zna środowisko, procedury i wykonawców. CST przez dziesięciolecia budował zaufanie policji i kolejnych rządów. Dziś nie jest już zwykłym lobby pukającym do drzwi państwa. Państwo powierzyło mu wykonywanie części swojej roboty.

Skala systemu robi wrażenie. W 2024 r. grant obejmował ponad 200 szkół, ponad 260 synagog i blisko 50 dużych budynków użyteczności publicznej. CST koordynował pracę ponad siedmiuset ochroniarzy z 55 firm i przeprowadził 2 767 kontroli. Kiedy pojawia się zagrożenie, nie trzeba tworzyć listy kontaktów, szukać wykonawcy ani przekonywać urzędnika, że problem istnieje. Numery telefonów są znane, procedury przećwiczone, ochroniarze sprawdzeni, a pieniądze płyną kanałem działającym od lat.

Muzułmanie mają fundusz. Żydzi mają system. I właśnie to najlepiej wyjaśnia, dlaczego jedni częściej dostają pomoc od razu, a drudzy stale o nią walczą.

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl ea5ad11293

Nr 33 (309) 14-20.08 2026 r. F!

Było sygnalistó

Donosiciela można nazwać sygnalistą, ale dla państwa wciąż będzie tylko kapusiem.

Kiedy Gabriela Fostiak postanowiła poinformować ministra nauki o tym, co jej zdaniem źle działo się na Uniwersytecie Szczecińskim, mogła sądzić, że robi dokładnie to, do czego państwo od lat zachęca obywateli. Widzi się coś podejrzanego, zna się sprawę od środka, ma się dokumenty, więc zamiast od razu biec do telewizji, gazety, prokuratury i wrzucać papiery do internetu, informuje się właściwy organ.

Nie, bo kalendarz

Pani Fostiak odpowiedni organ wybrała właściwie, bo była przewodniczącą związku zawodowego na Uniwersytecie Szczecińskim, a o problemach uczelni postanowiła zawiadomić Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Na jego czele stał wtedy Dariusz Wieczorek. Fostiak wskazywała między innymi na okoliczności awansu Beaty Mikołajewskiej-Wieczorek, żony ministra. Została ona dyrektorką Centrum Edukacji Medialnej i Interaktywności Uniwersytetu Szczecińskiego (CEMiL). Problem polegał na tym, że wcześniej osoba kierująca CEMiL musiała mieć stopień naukowy doktora. Żona ministra była magistrem. Na szczęście dla niej, regulamin nie okazał się dokumentem wykutym w granicie. Zmieniono go 1 lutego 2024 r. i brak doktoratu przestał przeszkadzać, w zajęciu stanowiska dyrektora. W tej samej historii pojawiła się jeszcze żona rektora Uniwersytetu Szczecińskiego prof. Waldemara Tarczyńskiego, która objęła stanowisko w Komisji Ewaluacji Nauki, o której składzie decydowało ministerstwo kierowane wówczas przez Wieczorka. To nie jest dowód żadnego przestępstwa. Tyle że właśnie po to istnieją kontrole i sygnaliści, aby sprawdzać takie sytuacje. Fostiak – jak mówiła TVN – myślała: „jeżeli pan minister spowoduje kontrolę", fachowcy zajmą się sprawą, a ona będzie mogła wrócić do swojej pracy, pozostając nieujawniona. Stało się odwrotnie. Minister przesłał jej pisma rektorowi Tarczyńskiemu.

Według relacji przywoływanych przez media, Fostiak po ujawnieniu jej tożsamości doświadczała wielu negatywnych konsekwencji i została w środowisku określona jako donosicielka. Półtora roku po szczecińskiej awanturze Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich zorganizowało spotkanie poświęcone barierom powstrzymującym ludzi przed informowaniem o nieprawidłowościach. Zastępca RPO Adam Krzywoń mówił, że historycznie obciążone słowo „donosiciel" wciąż utrudnia w Polsce traktowanie sygnalisty jak człowieka działającego w interesie organizacji i państwa. RPO zwrócił uwagę, że osoba zgłaszająca musi wiedzieć, co stanie się z jej danymi. A „bez zaufania nawet najlepsza ustawa pozostanie martwym prawem". Państwowy urząd w czerwcu 2026 r. opisał zatem modelowo problem, który Gabriela Fostiak przetestowała już na własnej skórze.

Resort tłumaczył, że Fostiak nie przysługiwał status anonimowej sygnalistki, ponieważ poruszane przez nią kwestie wykraczały poza zakres dyrektywy unijnej. Wieczorek stwierdził, że „w tej sprawie nie mamy do czynienia z sygnalistami", a jako dodatkowy argument wskazywał, że Fostiak jest przewodniczącą związku zawodowego. Związkowcy posiadają przecież własną ochronę ustawową. Czyli jeśli ktoś jest chroniony z jednego powodu, to być może nie ma potrzeby chronić go z drugiego. Równie dobrze można byłoby uznać, że człowiek posiadający AC i OC nie potrzebuje pasów bezpieczeństwa w samochodzie.

Na tym nie koniec. Państwo zastosowało też rozróżnienie, które powinno przejść do podręczników administracyjnej semantyki. Według Wieczorka, pismo Fostiak nie zawierało podejrzeń łamania prawa. Było jedynie skargą dotyczącą „istotnych spraw uczelni". Tym samym najistotniejsza nie stała się informacja, lecz jej kwalifikacja.

Po zadymie medialnej Wieczorek przeprosił więc Fostiak „jeśli w jakikolwiek sposób poczuła się urażona". Trzy dni później ogłosił wymuszoną rezygnację z funkcji ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Ale żeby nie było, że państwo niczego nie zbadało – Wieczorek polecił powołanie zespołu kontrolnego. Resort sprawdzał sposób procedowania pism Fostiak w ministerstwie, a kontrolerzy weszli również na Uniwersytet Szczeciński. I oto działalność uczelni została oceniona pozytywnie. Znaleziono jedną nieprawidłowość. Tyle że nie była nią sprawa żony ministra, zmiany wymagań dla dyrektora CEMiL ani stanowisko żony rektora. Kontrolerzy stwierdzili, że rektor powołał dyrektora Akademickiego Inkubatora Przedsiębiorczości bez zasięgnięcia wymaganej opinii Senatu Uniwersytetu. Czyli człowiek zgłasza kwestie, które uważa za poważne, państwo rozpoczyna kontrolę i z całego worka wyciąga coś innego.

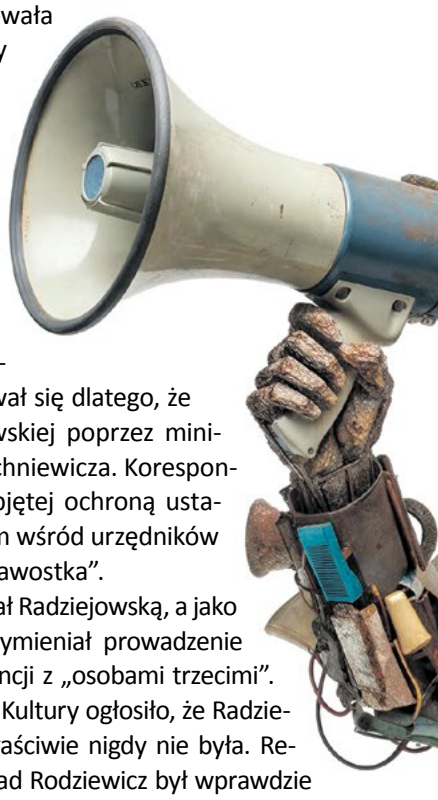
W sprawę wejrzała też prokuratura, by odmówić wszczęcia postępowania, bo czyn nie zawiera znamion czynu zabronionego, a materiał nie wskazuje na sprawstwo ówczesnego ministra, rektora ani podległych im funkcjonariuszy. I przedstawiła argument, który brzmi jak prawna pointa całej afery – kobieta kierująca pismo do ministra „nie działała anonimowo", ponieważ występowała w imieniu związku zawodowego. A poza tym – wedle prokuratury – przepisy dotyczące sygnalistów zaczęły działać 25 grudnia 2024 r., czyli już po wydarzeniach ze sprawy. Fostiak miała po prostu pecha kalendarzowego. Minister stracił stanowisko za aferę z sygnalistką, po czym państwo stwierdziło, że prawnie żadnego przestępstwa związanego z naruszeniem jej ochrony nie było.

Nie, bo to pomyłka

Jeśli po historii Gabrieli Fostiak ktoś doszedł do wniosku, że władza nie będzie już w stanie wymyślić nic bardziej twórczego w kwestii sygnalistów, ten nie docenił Ministerstwa Kultury. W wypadku byłej szefowej berlińskiego oddziału Instytutu Pileckiego Hanny Radziejowskiej problem kalendarza już nie istniał. Ustawa obowiązywała, procedury działały, urzędnicy byli przeszkoleni, a ministerstwo nawet napisało kobiecie czarno na białym, że jej „zgłoszenie jest objęte ochroną, zgodnie z ustawą z dnia 14 czerwca 2024 r. o ochronie sygnalistów".

Radziejowska kierowała oddziałem Instytutu Pileckiego w Berlinie. Od początku 2025 r. miała coraz większe zastrzeżenia do poczynań dyrektora instytucji prof. Krzysztofa Ruchniewicza. Uważała część jego decyzji za szkodliwe zarówno dla Instytutu, jak i dla państwa. Próbowała najpierw rozmawiać z szefem, ale skoro – według jej relacji – niewiele to dawało, poszła szczebel wyżej. Zawiadomiła ministra nadzorującego instytucję. Najpierw była to Hanna Wróblewska, później jej następczyni Marta Cienkowska. I żeby nie było żadnych wątpliwości proceduralnych, Radziejowska poprosiła o uznanie jej za sygnalistkę.

Starszy specjalista resortu Konrad Rodziewicz wysłał do niej wiadomość potwierdzającą, że zgłoszenie podlega ustawowej ochronie. Radziejowska uwierzyła. Pisała dalej do resortu, zaznaczała, że działa w trybie ustawy o ochronie sygnalistów i przypominała o poufności. Tym razem o przygotowywanych przez Instytut seminariach związanych z restytucją mienia czy dóbr znajdujących się w Polsce po 1945 r. Radziejowska uznała temat za na tyle poważny, że zaalarmowała nową ministrę kultury oraz chargé d'affaires polskiej ambasady w Berlinie. Ruchniewicz później tłumaczył, że żadnego oddawania Niemcom polskiego majątku nie szykował, a chodziło jedynie o naukową dyskusję. A odezwał się dlatego, że poufny list Radziejowskiej poprzez ministerstwo trafił do Ruchniewicza. Korespondencja obywatelki objętej ochroną ustawową krążyła bowiem wśród urzędników i polityków jako „ciekawostka".



Ruchniewicz odwołał Radziejowską, a jako jeden z powodów wymieniał prowadzenie przez nią korespondencji z „osobami trzecimi". I wtedy Ministerstwo Kultury ogłosiło, że Radziejowska sygnalistką właściwie nigdy nie była. Resort wyjaśnił, że Konrad Rodziewicz był wprawdzie pracownikiem Ministerstwa Kultury, ale pracownikiem niewłaściwym. Jako starszy specjalista Departamentu Dziedzictwa Kulturowego nie miał kompetencji, by decydować o przyznaniu statusu sygnalisty. Jego wiadomość nie była zatem dowodem przyznania ochrony przez ministerstwo. Samo zgłoszenie Radziejowskiej miało natomiast nie spełniać „wymogów merytorycznych" ustawy. Resort wszczął więc postępowanie wyjaśniające w sprawie urzędnika, który powiedział obywatelce, że państwo będzie ją chroniło.

Przy Wieczorku sygnalistki nie było, bo przepisy jeszcze nie zdążyły. W Instytucie Pileckiego sygnalistki nie było, bo urzędnik zdążył za bardzo.

Nie, bo ma coś za uszami

Doktor Emil Jędrzejewski, były ordynator chirurgii Warszawskiego Szpitala Południowego, nie przypomina romantycznego demaskatora, który pewnego ranka znalazł segregator z przekrętem, zrobił ksero i zaniósł je prokuratorowi. Ale w czerwcu 2025 r. zaczął alarmować kierownictwo placówki o pracy Dawida Kacprzyka, ówczesnego koordynatora SOR. Miał rozmawiać z dyrektorką Anną Łukasik oraz członkiem rady

eprasa.pl ea5ad11293

w wielu

nadzorczej. Później wysłał wiadomość Rafałowi Trzaskowskiemu. Prezydent Warszawy odpisał mu, że ma dużo obowiązków i wolałby dostać sprawę na piśmie. Jędrzejewski utrzymuje, że oficjalne pismo wysłał. Warszawski ratusz twierdzi, że nie. Można zatem poinformować człowieka sprawującego nadzór polityczny nad miejską instytucją o czymś bardzo poważnym, ale informacja nadal może okazać się administracyjnie niewystarczająca, ponieważ dotarła do niego niewłaściwą drogą.

Dwa miesiące po dacie nadania oficjalnego pisma Jędrzejewski przestał pracować w Szpitalu Południowym. Fakt ten sugeruje związek między alarmowaniem a zwolnieniem. Szpital mówi – nic podobnego. Według placówki, powodem rozstania były między innymi zaległości ordynatora w sprawozdawczości dla NFZ oraz skargi pacjentów.



W czerwcu Jędrzejewski wyszedł ze swoimi zarzutami publicznie i ujawnił sprawy znacznie poważniejsze niż to, że ktoś źle układał grafik. Twierdził, że błędy medyczne w Szpitalu Południowym prowadziły do śmierci pacjentów. O Dawidzie Kacprzyku mówił, że wykonywał procedury, do których – według niego – nie miał odpowiednich kompetencji albo robił to bez właściwego nadzoru. Padło zdanie: „tam ginęli ludzie, bo ktoś się uczył". Jędrzejewski opowiadał też o pacjentach SOR, którzy wychodzili do toalety, po czym po 3-4 godzinach mieli być odnajdywani martwi. Zarzucał wykonywanie tomografii osobom już zmarłym po to, by odpowiednio wyglądała dokumentacja. Właśnie od sprawdzania takich zarzutów istnieje prokuratura. I prokuratura sprawdzać zaczęła.

Wszczęła dwa śledztwa – jedno dotyczące podejrzenia oszustwa na ponad pół miliona złotych, drugie – możliwego przekroczenia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego. Czyli sygnalista coś uruchomił. Ale miesiąc później państwo uruchomiło coś przeciwko sygnaliście. Prezes NFZ złożył zawiadomienie dotyczące możliwości popełnienia przestępstwa przez Jędrzejewskiego. Podstawą były wyniki kontroli oddziału, którym doktor wcześniej kierował. Kontrolerzy analizowali świadczenia wykonane w 2024 r., chodziło o sposób rozliczania zabiegów proktologicznych. Procedura, którą należało zakwalifikować jako tańszą, miała być wpisywana jako droższa. NFZ miał wskutek tego zapłacić oddziałowi około 1,1 mln zł więcej niż powinien.

Jędrzejewski w jednym postępowaniu jest świadkiem, który ma informacje o możliwych nieprawidłowościach. W drugim – staje wobec zarzutu popełnienia przestępstwa. Nie wiadomo, jaki będzie finał tych postępowań. Nie wolno więc ani robić z Jędrzejewskiego przestępcy, ani stawiać mu pomnika. Można jednak zauważyć coś znacznie ważniejszego dla historii wszystkich sygnalistów – człowiek alarmujący o patologii nie przestaje być źródłem informacji tylko dlatego, że sam jest podejrzewany o inną patologię. Z punktu widzenia władzy, sygnalista z plamami na życiorysie jest wyjątkowo wygodny. Zamiast odpowiadać na pytanie „czy mówi prawdę?", można spytać „kim on właściwie jest?". Gabrieli Fostiak można było wyjaśnić, że nie miała odpowiedniego statusu. Hannie Radziejowskiej – że ministerialne potwierdzenie ochrony wysłał niewłaściwy urzędnik. Przy Jędrzejewskim nie trzeba dowodzić, że zgłoszenie nie kwalifikuje się pod ustawę, można postawić obok niego teczkę z hakami na faceta.

Nie, bo leniwy

Pan Piotr – bo pod takim imieniem występuje w mediach – pracował w warszawskim Zarządzie Dróg Miejskich (ZDM) jako specjalista. Afera rozpoczęła się w prima aprilis 2025 r. od tego, że troje pracowników dostało polecenie ubezpieczania samochodów zajętych w związku z przepadkiem mienia. Tyle że wyroki były nieprawomocne. Samochód, który dziś stoi na placu jako przejęty przez państwo, jutro może więc wrócić do właściciela. Ubezpieczanie go wcześniej za publiczne pieniądze wydało się pracownikom gospodarnością taką, jak opłacanie czynszu za mieszkanie, które dopiero planuje się kupić.

Piotr zrobił dokładnie to, czego ustawodawca oczekuje od obywatela. Dokonał wewnętrznego zgłoszenia, zgodnie z ustawą o ochronie sygnalistów. ZDM sprawę sprawdził i nie dopatrzył się nieprawidłowości. Ale zaraz po alarmie zaczęło dziać się coś z jego pensją. Zmalały dodatki motywacyjne. Później Piotr oraz dwóch jego kolegów mieli dostać zadanie stworzenia systemu e-licytacji, mimo że programistami nie byli. Po to, by później udowodnić, że pracownicy nie potrafią wykonywać powierzonych obowiązków. To oczywiście ich ocena, nie sądowy fakt. Ale w sierpniu Piotr uznał już sytuację za działania odwetowe i poszedł z tym do dyrektora ZDM.

Nie pomogło. Urzędnik napisał więc do Trzaskowskiego. „Proszę nam pomóc" – błagał. System zadziałał tak, jak powinien. 17 listopada prezydent Warszawy objął go na piśmie ochroną wynikającą z ustawy o sygnalistach. Piotr mógł więc poczuć się bezpiecznie. Niesłusznie. Korespondencja dotycząca jego skarg trafiła z ratusza do kierownictwa ZDM. W styczniu dyrektor podpisał wypowiedzenie umowy pana Piotra. Uzasadniono to „utratą zaufania". Bo przecież nikt nie napisze „zwalniamy pana, ponieważ poinformował pan przełożonych o nieprawidłowościach, czego ustawa wyraźnie nam zabrania". ZDM podał więc cały zestaw zarzutów. Były pracownik miał niewłaściwie nadzorować przejęte pojazdy, popełniać błędy w dokumentacji, działać bez należytej staranności, nieterminowo wykonywać zadania i niewłaściwie współpracować z przełożonymi. Warszawski ratusz informował o przykładach uchybień, które – według miasta – nie miały nic wspólnego ze zgłoszeniem sygnalisty. Ochrona, jak przypomniał urząd, nie czyni wszak człowieka niezwalnialnym, bo urzędnik może być sygnalistą i jednocześnie kiepsko pracować. Słusznie skądinąd.

Tyle że w wypowiedzeniu ZDM zarzucił Piotrowi podejmowanie działań mających szkodzić wizerunkowi pracodawcy przez „niezasadne zgłaszanie rzekomych działań opresyjnych", czyli korespondencję z sekretariatem Trzaskowskiego. Pracownik objęty ochroną sygnalisty poszedł do instytucji, która go chroniła, ze skargą na pracodawcę. Co zrobiono z dokumentem ochronnym – skoro wypowiedzenie i tak wręczono – będzie zapewne jednym z ciekawszych pytań dla sądu.

W czerwcu 2026 r. Rzecznik Praw Obywatelskich mówił, że zgłaszający musi mieć pewność, co stanie się z jego danymi. A w lipcu pokazał statystyki systemu, w którym tysiące państwowych instytucji przez rok nie odnotowały ani jednego zgłoszenia sygnalisty. Możliwe oczywiście, że w 4 946 organach publicznych nikt nie zauważył niczego, czym należałoby zainteresować państwo. Jedynie w 339 urzędach, instytucjach i innych organach znalazło się cokolwiek wartego zgłoszenia. Czyli – ponad 93 proc. organów i instytucji pracuje wzorowo…

Mamy ustawę, RPO, zespół do spraw sygnalistów, kanały wewnętrzne i zewnętrzne, procedury, zakaz odwetu, obowiązek poufności. I konferencje z okazji Międzynarodowego Dnia Sygnalisty też mamy. Tak samo jak pewność, że kiedy człowiek rzeczywiście podniesie rękę i powie: „tu dzieje się coś złego", rozpocznie się natychmiast poszukiwanie dowodu na to, że była to niewłaściwa ręka.

Stefan Płonicki

eprasa.pl ea5ad11293

„Wypoczynek” z dobrodziejem

Ksiądz Mieczysław Puzewicz ma kościelny zakaz kontaktowania się z osobami małoletnimi. Brał jednak udział w spotkaniu z ukraińską młodzieżą.

Stowarzyszenie Solidarności Globalnej oraz Centrum Wolontariatu w Lublinie zorganizowały w mieście integracyjny wypoczynek dla ukraińskiej młodzieży – m.in. dzieci poległych obrońców Ukrainy z obwodów żytomierskiego i lwowskiego. Zdjęcia z tego wydarzenia opublikował w swoich mediach społecznościowych Konsulat Generalny Ukrainy w Lublinie.

„(...) Już siódmy rok z rzędu lubelskie organizacje trzeciego sektora – Stowarzyszenie Solidarności Globalnej oraz Centrum Wolontariatu w Lublinie – gościnnie przyjmują utalentowaną ukraińską młodzież w ramach wspólnego projektu zainicjowanego przez ks. Mieczysława Puzewicza” – czytamy we wpisie Konsulatu.

Ksiądz z zakazem

Na załączonych do postu zdjęciach pozuje otoczony dziećmi ks. Puzewicz. Od ub.r. ma on kościelny zakaz kontaktowania się z osobami małoletnimi. Ograniczenie nałożono na niego po reportażu Pawła Reszki w „Dużym Formacie”. M. Puzewicz był wieloletnim diecezjalnym duszpasterzem młodzieży oraz prowadził Radio eR. To właśnie w ramach tej działalności miał molestować nastoletnie wolontariuszki. Opisywały one, jak duchowny próbował je całować, łapał za piersi i wysyłał SMS-y o charakterze propozycji seksualnych. Jedna z nich wspominała, że wzywał ją do gabinetu pod pretekstem niedopracowanego materiału, a następnie podchodził bardzo blisko – czasem od tyłu – i przesuwał dłonie z ramion w stronę piersi. Miał też ostrzec jedną z wolontariuszek: „Tylko nie próbuj o tym nikomu mówić. I tak nikt ci nie uwierzy”.



fot. Facebook / GKU Lublin

W przesłanym do Katolickiej Agencji Informacyjnej (KAI) oświadczeniu, ksiądz przyznawał, że „przekroczył granice, jakie powinny być zachowane w relacji duszpasterza do młodzieży”. Zapewniał też, że nie działał z intencją skrzywdzenia kogokolwiek. „Chcę szczerze przeprosić te osoby i ich bliskich za moje zachowania. Żałuję, że do nich doszło. Jestem zdecydowany z każdą z tych osób – jeśli wyrażą na to zgodę – spotkać się osobiście i przeprosić” – pisał duchowny.

Sprawą księdza zajmuje się obecnie Watykan.

Nie ma problemu

Zapytaliśmy Kurię Metropolitalną w Lublinie o konsekwencje nieprzestrzegania zakazu przez księdza. Nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi. Więcej szczęścia miało Radio Lublin. „Z posiadanych przez nas z informacji wynika, że angażuje się we własne projekty. My oczekujemy, że w ramach prowadzenia tejże działalności będzie przestrzegał nałożonych na niego ograniczeń, które wynikają z prawa kanonicznego” – cytuje rozgłośnia wicekanclerza ks. Sylwestra Brzozowskiego.

Dopytywany o to, jak na spotkanie Puzewicza z ukraińską młodzieżą zareaguje kuria, ksiądz odpowiedział: „Podejmiemy odpowiednie kroki. Same zdjęcia przedstawiają to, że jest zaangażowany w działalność z młodzieżą. Moim zdaniem, tak być nie powinno”.

Strona ukraińska nie wiedziała o zakazie obowiązującym duchownego. Gdy jednak dzień po publikacji zdjęć dowiedziała się o tym, nie zareagowała. Problemu nie widzi też współorganizator wydarzenia Stowarzyszenie Solidarności Globalnej. „Zgodnie z posiadanymi przez nas informacjami, w spotkaniu w konsulacie nie uczestniczyła żadna osoba objęta prawomocnie orzeczonym zakazem pracy z małoletnimi. Zakaz zajmowania stanowisk, wykonywania zawodów lub prowadzenia działalności związanej m.in. z wychowaniem, edukacją lub opieką nad małoletnimi może zostać orzeczony przez sąd na podstawie przepisów Kodeksu karnego. W przypadku księdza Mieczysława Puzewicza taki zakaz nie został orzeczony (...)” – czytamy w oświadczeniu organizacji.

W praktyce kościelne kary służą bardziej uspokojeniu opinii publicznej niż realnej ochronie małoletnich. I tu pojawia się pytanie, jak oceniać to, co się stało. Czy w kategorii daleko posuniętej antypatii do Ukraińców, czy wręcz przeciwnie – jako dowód miłości dzieci...

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Pościg za proboszczem

Sceny niczym z filmu akcji rozegrały się na drogach powiatów chełmskiego i włodawskiego. Trzeba było drogowej blokady, żeby zatrzymać... księdza.

Policyjne radiowozy, karetka, wóz Straży Granicznej i zdenerwowany ksiądz – takich scen w małej miejscowości Uhrusk na Lubelszczyźnie nie widzi się codziennie.

– Przejeżdżałam akurat obok cmentarza. Widziałam służby, motocykl i busa. Ksiądz wymachiwał rękami. Wyglądało, jakby tłumaczył coś policjantom. Słyszałam, że prowadzono za nim pościg. Na miejscu zebrało się kilku gapiów – relacjonuje jedna z mieszkanek Uhruska.

„Irracjonalny” kierowca



Wszystko zaczęło się na trasie z Chełma w kierunku wsi Łukówek.

– Kierowca samochodu ciężarowego Scania informował, że na trasie Chełm-Włodawa kierujący Nissanem zmusił go do zjechania na pobocze drogi, gdzie miało dojść do uszkodzenia jego pojazdu – informuje „FpM” nadkom. Ewa Czyż, oficer prasowy Komendanta Miejskiego Policji w Chełmie. – Po chwili było kolejne zgłoszenie, że ten sam kierujący Nissanem przekracza prędkość i wyjeżdża na czołówkę. Zgłaszający informował o kierunku, w którym pojazd pojechał dalej. Policjanci, skierowani do obsługi zgłoszenia, zatrzymali do kontroli drogowej w miejscowości Uhrusk w powiecie włodawskim opisywanego Nissana. Za kierownicą siedział 67-letni mężczyzna. Badanie alkomatem wykazało, że był trzeźwy. Z uwagi na irracjonalne zachowanie na miejsce wezwana została karetka pogotowia, która zabrała kierującego do szpitala – relacjonuje rzeczniczka.

Ksiądz przeszedł tam zapewne badania toksykologiczne, mające na celu stwierdzenie, czy w jego organizmie znajdują się substancje psychoaktywne. Policja nie zdradza jednak szczegółów.

Parafianie wiedzą więcej

– Ja mam poważne wątpliwości co do tej sprawy... W sąsiedniej Woli Uhruskiej akurat odbywał się piknik motocyklowy. W pościg za księdzem ruszył motocyklista. To jego motor stał pod cmentarzem. Ksiądz miał próbować uniknąć obywatelskiego zatrzymania. Ludzie mówią, że próbował ukryć się na posesji znajomych, ale motocyklista go dogonił. Ksiądz ruszył więc dalej w kierunku Uhruska, licząc zapewne, że ukryje się na plebanii. Policja jednak była szybsza i zablokowała drogę tuż obok miejscowego cmentarza – mówi jedna z mieszkanek Uhruska.

Dzień później, w niedzielę (2 sierpnia) proboszcz Wojciech Gawałko odprawił wszystkie zaplanowane msze. Parafianom tłumaczył, że powodem jego zachowania za kierownicą było zasłabnięcie.

– Raczej mało kto w to wierzy. Po co by uciekał? Ksiądz przyzwyczaił już nas do różnych niestandardowych zachowań. Nie jest tutaj lubiany. Otacza się głównie dewotkami. Spora część wiernych odeszła do innych kościołów. Nikt nie chce słuchać tych głupot, które wygaduje. Niektórzy podejrzewają, że on bierze narkotyki albo jest na jakichś lekach psychotropowych, ale tego przecież nikt nam nie powie – mówi „FpM” mieszkaniec wsi.

– Już z rok nie byłem w tym kościele, bo proboszcz zachowuje się co najmniej dziwnie. Potrafi wychodzić na zakrystię w trakcie mszy. Grzebie tam coś, tłucze się i wraca jak gdyby nigdy nic – dodaje kolejny parafianin.

Wszyscy moi rozmówcy chcą zachować anonimowość.

– Teraz to strach dzieci puścić na dwór, na ulicę wyjść... Księdzu nie można zwrócić uwagi, bo zaraz się z „ambony spada”. Oj... nie ma co gadać, ja o nim nic dobrego powiedzieć nie mogę, ale zadzierać też z nim nie chcę – mówi mieszkanka Uhruska.

Bohater kilku akcji

Proboszcz parafii pw. Jana Chrzciciela w Uhrusku był już bohaterem publikacji w „FpM”. Pisaliśmy, że w listopadzie 2024 r. puścił uczniom klas II-III Szkoły Podstawowej w Uhrusku fragmenty filmu „Cristiada” – z egzekucjami, torturami i scenami śmierci, w tym zabójstwa 14-latka. Jak relacjonowała matka jednego z dzieci, ośmiolatki płakały, a jeden z chłopców uciekł z klasy do łazienki. W szczycie pandemii, ksiądz odwiedzał domy osób zakażonych koronawirusem, po czym bez badania szedł odprawiać msze i prowadzić lekcje religii w szkole. Gdy lokalna gazeta „Nowy Tydzień” szykowała o tym publikację, duchowny próbował to zablokować. Ostatni skandal z udziałem proboszcza wybuchł w ub.r. Chodziło wtedy o ponad 400 tys. zł dotacji z Rządowego Programu Odbudowy Zabytków. Pieniądze przeznaczono na remont elewacji i wentylacji kościoła. Część parafian uważała, że ksiądz nie wykonał zapowiadanego remontu prawidłowo. Temat ten był szeroko omawiany przez radnych gminy podczas jednej z sesji.

O zamiary i ewentualne kroki dyscyplinarne Kurii Diecezji Siedleckiej wobec księdza Gawałki zapytaliśmy jej rzecznika. Do momentu publikacji nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi.

KWW

eprasa.pl ea5ad11293

Polska murzyńskość i robienie łaski



Tylko ktoś wyjątkowo naiwny może uwierzyć w bajki o forcie imienia Trumpa.

Z okazji pierwszej rocznicy swojej prezydentury Karol Nawrocki zorganizował huczny jubel, podczas którego przemówił do suwerena (czyt. str. 3). Jednym z głównych punktów wystąpienia była budowa Fortu Trump.

Opowieści z mchu i paproci

„Mówiłem i powtarzałem w czasie kampanii wyborczej – obiecywałem Wam to – że zbuduję mocne relacje z naszym najważniejszym sojusznikiem, strategicznym sojusznikiem, ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki i z Prezydentem Donaldem Trumpem. Od 3 września, później podczas kolejnych spotkań na wielu forach, podczas kolejnych dyskusji telefonicznych, przez kolejny cały rok udało się stworzyć autostradę do stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Ta autostrada jest rozłożona, nie można tego wyżej i dalej załatwić niż między dwoma prezydentami. Teraz wszystko po stronie rządu, który wspieram tam, gdzie mogę, ale trzeba się wziąć na poważnie do załatwienia budowy Fortu Trump i stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Wszystko jest właściwie załatwione i jest gotowe, teraz trzeba zabrać się do ciężkiej pracy" – bredził Nawrocki, jakby się czegoś naćpał.

Skoro „wszystko jest właściwie załatwione i jest gotowe", to po co „brać się na poważnie do załatwienia budowy Fortu Trump i stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce"? Poza tym, Nawrocki nie raczył zdradzić żadnych szczegółów tego, co rzekomo załatwił z Donaldem Trumpem. Czyli nie wiemy, gdzie i ilu żołnierzy amerykańskich będzie na stałe stacjonować w Polsce, jakim sprzętem będą dysponować, jaki będzie koszt ich utrzymania i kto za to wszystko zapłaci. Co do „mocnych relacji" pomiędzy prezydentami… Jak one wyglądają opisaliśmy w tekście „Patologia przyjaźni" („FpM" nr 29/26).

1 lipca br. prezydencki minister Marcin Przydacz spotkał się w Waszyngtonie z sekretarzem stanu Marco Rubio. Podobno panowie rozmawiali o Forcie Trump, ale zbyt wiele nie ustalili. Zapytany przez dziennikarza Radia RMF FM, jak przedstawiciel amerykańskiej administracji odniósł się do kwestii stałej obecności wojsk sojuszniczych w Polsce, Marcin Przydacz stwierdził, że „jest gotowość i zielone światło do dalszych rozmów w tej sprawie". Dodał, że sekretarz Marco Rubio wyraził poparcie dla takich decyzji, jednak kluczowe postanowienia będą dopiero zapadały w Pentagonie. Czyli, wbrew temu, co mówił Nawrocki, nie ma żadnych konkretnych decyzji.

Krótka pamięć Trumpa

Opowieści o budowie Fortu Trump politycy PiS snują od 2018 r., kiedy to Andrzej Duda odwiedził w Waszyngtonie Donalda Trumpa. Podobno nazwę bazy wymyślił przy śniadaniu przed spotkaniem z prezydentem USA Tomasz Szatkowski, ówczesny wiceminister obrony. Duda wiedział, że narcystyczny Trump przyklaśnie pomysłowi ale… szybko o nim zapomniał. John Bolton, były doradca Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego, w wydanej w 2020 r. książce „The Room Where It Happened" opisał m.in. spotkanie Trumpa z ludźmi odpowiadającymi za politykę zagraniczną w Bedminster w stanie New Jersey, dokąd prezydent pojechał pograć w golfa w połowie sierpnia 2019 r. Rozmowa dotyczyła głównie trwających wówczas w Afganistanie negocjacji pokojowych z talibami, ale ponieważ dwa tygodnie później Trump miał polecieć do Polski, pojawił się również wątek Fortu Trump. Jak relacjonował Bolton, „rozmowa trwała, ale wyczułem, że Trump jest coraz bardziej od niej oddalony. Coś go niepokoiło, ale nie wiedziałem co. (…) Następnie zapytał: *Czy naprawdę chcemy Fort Trump*? Powiedziałem mu, że zgodził się już na to w kilku rozmowach z prezydentem Polski Andrzejem Dudą, że Polacy zapłacą za budowę, a także, że wyjeżdża do Polski 1 września, aby upamiętnić 80. rocznicę inwazji nazistów, ale to go nie uspokoiło. Powiedział, że nie pamięta, by zgodził się na Fort Trump, co wiele mówi albo o jego pamięci, albo o jego zdolności do ignorowania tego, czego nie chce pamiętać". Sekretarz obrony Mark Esper próbował wytłumaczyć prezydentowi, że wojska USA w Polsce będą rotacyjne, a nie stałe, ale „Trump był już gdzie indziej".

Do książki Boltona odniosła się ówczesna ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher, która stwierdziła, że nigdy nie było mowy o budowie w Polsce Fortu Trump, natomiast oba państwa ściśle współpracują w dziedzinie obronności i bezpieczeństwa, czego wyrazem było podpisanie przez prezydentów Polski i USA wspólnej deklaracji o partnerstwie strategicznym. W tym miejscu warto zaznaczyć, że owa deklaracja podpisana we wrześniu 2018 r. nie była czymś wyjątkowym, ale powtórzeniem deklaracji z 2008 r., którą podpisali ówczesny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski i sekretarz stanu w administracji George'a Busha Condoleezza Rice. Ot, i cała historia…

Polscy murzyni na klęczkach

Jednak przez kolejne lata politycy PiS mamili Polaków budową Fortu Trump. Potem temat podchwycił Karol Nawrocki, który stał się głównym orędownikiem budowy amerykańskiej bazy. Co ciekawe, prezydent znalazł sojusznika – ministra Władysława Kosiniaka-Kamysza. Szef ludowców postawił sobie za punkt honoru utworzenie Fortu Trump. Zapowiedział, że Polska sfinansuje budowę infrastruktury, a także będzie utrzymywać amerykańskich żołnierzy. A koszt całego przedsięwzięcia będzie gigantyczny. Według wiceministra obrony narodowej Pawła Zalewskiego, sama tylko budowa bazy może pochłonąć nawet kilkanaście miliardów złotych. Do tego należy doliczyć utrzymanie ludzi i sprzętu, co da dodatkowych kilka miliardów złotych rocznie. Czy Polskę na to stać? Minister Zalewski stwierdził, że co prawda rząd „odziedziczył budżet w takim stanie, w jakim odziedziczył po marnotrawnych rządach pana premiera Morawieckiego", ale „na bezpieczeństwo pieniądze będą i świadoma tego jest Rada Ministrów, pan premier Tusk, który bardzo silnie poparł pana premiera Kosiniaka-Kamysza" (Radio TOK FM 18 czerwca 2026 r.).

Sprawa budowy Fortu Trump pokazuje, że między bajki należy włożyć opowieści o wyjątkowej przyjaźni i strategicznym sojuszu pomiędzy Polską a USA. Gdyby było inaczej, stała baza amerykańska nad Wisłą powstałaby już dawno, a polscy podatnicy nie wydaliby na nią ani złotówki. Tymczasem elity polityczne (od lewa do prawa) chcą sobie po prostu kupić ochronę. Bardzo drogą. Nie wiadomo, zresztą, po co, skoro Polska jest członkiem NATO, a w Najjaśniejszej już stacjonuje ok. 10 tys. żołnierzy amerykańskich rozmieszczonych w kilkunastu bazach, poligonach i ośrodkach szkoleniowych w całym kraju, m.in. w Redzikowie, Drawsku Pomorskim, Orzyszu, Poznaniu, Powidzu, Żaganiu, Łasku, Bolesławcu, Lublińcu. Jak ujawnił minister Radosław Sikorski, utrzymanie jednego amerykańskiego wojaka kosztuje ok. 15 tys. dolarów rocznie (i jest tańsze niż utrzymanie ich w USA), co w skali roku stanowi równowartość ok 550 mln zł.

Polscy politycy robią „laskę" Trumpowi (według terminologii aktualnego ministra spraw zagranicznych), choć ten nie szanuje Polski i Polaków. Przekonaliśmy się o tym kilkakrotnie nie tylko, gdy prezydent USA znieważał naszych żołnierzy walczących w Afganistanie, ale także gdy bezczelnie zaangażował się w wybory prezydenckie, nachalnie popierając Karola Nawrockiego. Ten jeszcze w maju br. zapewniał Polaków o wyjątkowym sojuszu z USA, gdy gruchnęła wiadomość, że Pentagon w ramach oszczędności wycofa z Polski około czterech tysięcy. „rotacyjnych" żołnierzy. Wybuchł skandal, a po kilku dniach Trump ogłosił, że zmienia decyzję i wyśle do Polski „dodatkowych pięć tysięcy żołnierzy". Uzasadnił to w sposób uwłaczający i haniebny. Stwierdził, że nie zrobił tego z miłości do Polski i jej mieszkańców, ale „bazując na udanym wyborze prezydenta Karola Nawrockiego, którego z dumą poparłem oraz na naszych relacjach z nim".

Jak na razie Trump nie wywiązał się z obietnicy i jest wielce prawdopodobne, że tego nie zrobi. Już dawno stracił kontakt z rzeczywistością.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl ea5ad11293

Plemniki niezgody

Przed letnią przerwą w obradach deputowani rosyjskiej Dumy Państwowej uchwalili ustawę umożliwiającą wdowom po weteranach wojny z Ukrainą bezpłatne korzystanie z zapłodnienia in vitro (IVF) przez pięć lat po śmierci męża. Mówiąc wprost, państwo jest gotowe przyznać ojcostwo... pośmiertnie.

Nie wiem, co jest bardziej wstrząsające w tej inicjatywie: jawny cynizm czy spóźniony przejaw paniki przed katastrofą demograficzną i obłudna troska „o przyszłość kraju".



Zakłady mięsne Putina

Partia Jedna Rosja w prosty sposób wyjaśniła ustawę, co tylko wzmocniło jej wulgarny charakter: „mężczyźni często wyjeżdżają bronić ojczyzny w bardzo młodym wieku", a w wypadku śmierci współmałżonka „żony są pozbawione możliwości rodzenia dzieci od swoich bliskich". Ta doprecyzowująca uwaga jeszcze bardziej obnaża nieludzki charakter inicjatywy deputowanych Dumy Państwowej – Rosja planuje prowadzić długą wojnę. Potrzebuje żołnierzy. Kraj potrzebuje nowego pokolenia patriotycznych najemników z genami „bohaterów SWO". Ustawa wejdzie w życie 1 grudnia tego roku.

Jak to często bywa w Rosji/ZSRR, ustawa została uchwalona „na liczne prośby ludzi pracujących". Rząd jest przyzwyczajony do popełniania nikczemnych czynów w imieniu ludu i chowania się za jego plecami.

W samej procedurze in vitro nie ma oczywiście nic złego. Dzięki tej metodzie leczenia niepłodności urodziło się na całym świecie ponad 13 000 000 dzieci. Jednak w obliczu eskalacji wojny i kanibalistycznych obietnic Putina, że w konfrontacji z Zachodem będzie „walczył do samego końca", ustawa o „niepokalanym poczęciu" podkreśla, że reżim potrzebuje nie tyle budowniczych świetlanej przyszłości Rosji, ile „mięsa armatniego".

Wybacz mi, Panie, ale złe języki nadały Sztabowi Generalnemu Ministerstwa Obrony Rosji przydomek „zakład mięsny Władimira Putina". Jak na ironię, „ginekologiczna" ustawa Dumy Państwowej została uchwalona w dniu, w którym Rosyjska Agencja Statystyczna (Rosstat) opublikowała statystyki pogrzebowe. Umieralność i wskaźniki urodzeń w Rosji są rejestrowane od początku „specjalnej operacji wojskowej" (SWO) w Ukrainie, ale Rosstat nieumyślnie opublikował znacznie bardziej szokujące dane. W pierwszej połowie 2026 r. liczba firm specjalizujących się w usługach pogrzebowych wzrosła o 22,5 proc. W Rosji jest ich obecnie prawie 13 000 (tylko tych niepaństwowych!).

W ciągu pierwszych czterech miesięcy tego roku, dochody zakładów pogrzebowych wzrosły o 15 proc. w porównaniu z analogicznym okresem ubiegłego roku. To są dane oficjalne. Prawdziwa liczba jest skrywana, bo z pewnością jest wielokrotnie wyższa. Poza tym, branża pogrzebowa jest zazwyczaj przestępcza i dlatego woli milczenie.

Mój sąsiad z działki pod Moskwą, emerytowany pułkownik, zbudował w ciągu ostatnich czterech lat dwupiętrową daczę, łaźnię, dwa domy gościnne i drugi garaż na swojej 12-akrowej działce. Pułkownik i ja nie znamy się. Bywam tam tylko okazjonalnie, latem, a mój bogaty sąsiad mieszka na stałe. Niedawno dowiedziałem się, że jest właścicielem sieci domów pogrzebowych i jednocześnie sekretarzem wykonawczym lokalnego oddziału partii Jedna Rosja.

Teraz, jako skromnemu dziennikarzowi, nie wypada mi zapoznawać się z „królem zakładów pogrzebowych". Przejeżdżając obok jego ponurej rezydencji, ozdobionej radosnym rosyjskim trójkolorowym sztandarem, mam mieszane uczucia. Ale w przededniu wyborów do Dumy Państwowej (we wrześniu) kusi mnie, żeby wywiesić hasło wyborcze na bramie miejscowego cmentarza: „Przestańcie się włóczyć! Wstańcie i głosujcie na Jedną Rosję!".

Żołnierze z probówki

Ale odeszliśmy od tematu. Wróćmy do ustawy o darmowym zamrożonym nasieniu dla wdów po „bohaterach" SWO. (Przepraszam za naturalizm, ale trzeba nazywać rzeczy po imieniu). Ustawa, powtarzam, została rzekomo uchwalona na prośbę wdów i kobiet, których mężowie wciąż nie stracili nadziei na powrót z okopów oraz tych, których mężowie ryzykują powołanie na front podczas jesiennego poboru. Iść i nigdy nie wrócić. Inicjatywa oferowania dofinansowanego leczenia in vitro dla wdów po weteranach SWO narodziła się w marcu w Rostowie nad Donem podczas regionalnego forum „Kobieta Dońska – dusza regionu". I to nie przypadek. Obwód rostowski znajduje się w pierwszej piątce regionów o najwyższym wskaźniku śmiertelności (czytaj: zgonów) wśród mężczyzn w wieku rozrodczym. „Nasi mężczyźni, idąc na front, nie mają czasu, żeby zostać ojcami. Nie zawsze jest to możliwe podczas krótkiego urlopu. Domagamy się uchwalenia ustawy zezwalającej na bezpłatne leczenie metodą in vitro. Teraz jest ono drogie" – apelowały rzekomo do Dumy Państwowej historycznie dumne Kozaczki dońskie.

Zgodnie z nowymi przepisami, wdowa po weteranie ma prawo do leczenia metodą in vitro na koszt państwa przez pięć lat od daty śmierci męża. Ciąża musi nastąpić w wyznaczonym terminie. W momencie zabiegu kobieta nie może być żoną innego mężczyzny. Prawo to obejmuje nie tylko potencjalne wdowy po weteranach, ale także żony inwalidów wojennych. Aby skorzystać z programu, mężczyzna musi oddać nasienie i zapłacić za jego przechowywanie. Koszt wynosi około 10 000 rubli rocznie (126 dolarów amerykańskich). Wymagane jest również wykonanie spermogramu i testu kriotolerancji. Obie usługi są płatne, a ich średni koszt wynosi 5 000 rubli. (63 dolary amerykańskie). Przyszły ojciec musi też za życia poświadczyć notarialnie niezbędne dokumenty prawne: akt zawarcia małżeństwa, zgodę na wykorzystanie swego biomateriału, prawo noworodka do noszenia jego nazwiska i imienia patronimicznego oraz prawo do dziedziczenia.

„Jeśli nasi obrońcy marzą o zostaniu ojcami, musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby to zapewnić". To wezwanie byłego inspektora policji drogowej i senatora Siergieja Gorniakowa, którego córka, zięć i wnuki mieszkają za granicą, brzmi wręcz kpiąco. „Nawet wielka osobowość była kiedyś maleńkim plemnikiem" – powiedział znany ginekolog Ilja Gerczikow. To oczywiście nie dotyczy inicjatorów i autorów nowej ustawy.

Życie po śmierci

Inicjatywa Dumy Państwowej, nazywana przez dowcipnisiów „ustawą o plemnikach 200" („200" odnosi się do poległych na froncie), spotyka się z krytyką ze strony osób religijnych. „Dlaczego ustawa została uchwalona w takim pośpiechu?" – pyta poseł Wachtang Kipszidze, przewodniczący Synodalnego Wydziału ds. Relacji Kościoła ze Społeczeństwem i Mediami. „Wśród wdów i weteranów SWO jest wielu prawosławnych chrześcijan, którzy nie poparliby idei wykorzystania materiału genetycznego zmarłych. W tradycji chrześcijańskiej zwycięstwo nad śmiercią jest darem od Boga. Ta inicjatywa nie przyniesie żadnych korzyści społecznych, a jedynie stworzy mnóstwo problemów".

Rabin Aron Gurewicz, szef Wydziału ds. Współpracy z Siłami Zbrojnymi Federacji Gmin Żydowskich Rosji, zgadza się z tym. Uważa, że inicjatywa nie przyczyni się do „moralnego i duchowego" rozwoju dzieci, które dowiedzą się, że urodziły się ze zmarłych rodziców.

„Islam szanuje postęp medycyny, gdy służy on ochronie życia, zdrowia i rodziny" – powiedział mufti Ruszan Abbyasow, wiceprzewodniczący Duchowej Rady Muzułmanów Rosji. „Jednak poczęcie dziecka z wykorzystaniem biomateriału człowieka po jego śmierci jest niezgodne z etyką islamską".

Tak więc „gdziekolwiek dotknąć, boli, bo to palec jest złamany". A co z wdowami prawdziwymi i wdowami potencjalnymi? I co z mężczyznami, których namawia się do oddania nasienia do banku spermy zanim zostaną wysłani na „mięsne szturmy"?! Zamiast skierować swój gniew na konkretnego sprawcę ich nieszczęść, milczą. Reżim Putina opiera się na pustce. Na tym polega jego długowieczność.

Anton Arbatow, Moskwa
przekład Marta Hofman

eprasa.pl ea5ad11293

Szczury gotowe do skoku

Powiedzieć, że w partii trumpo-republikańskiej panuje obecnie zamęt, to jak stwierdzić, że na Grenlandii leży śnieg. Normalka. Jeśli się ma za ojca chrzestnego (*pardon:* lidera) osobnika będącego kłębowiskiem patologii, trudno oczekiwać czegoś innego.



U progu drugiej tury Trumpa republikanie byli zwarci, bezwzględni i posłuszni. Z dwoma celami na oku: utrzymania pełni władzy i pomnażania majątku (swego oraz chlebodawców-miliarderów). Karność nadwątliła eksplozja bomby pt. Epstein. Pierwsza wierzgnęła kongresmenka Marjorie Taylor-Greene, amerykańska zetempówka. Zaprotestowała przeciw zatajaniu przez idola i jego kamarylę przemocy seksualnej w aferze Epsteina. Trump rzucił się na nią bez mała z pięściami, więc przeobraziła się we wroga. Tę samą metamorfozę przeszedł trumpo-stalinista kongresmen Thomas Massie. Również influencer milionów trumpoidów Joe Rogan i inny influencer z tej samej stajni, faszysta Nick Fuentes. Także twórca prawicowej szczekaczki Infowars Alex Jones, nacjonalistyczny komentator TV Fox Tucker Carlson oraz rzesza innych. Greene, Massie i Carlson spiskują nad utworzeniem nowej prawicowej partii: „Ruch MAGA został zdradzony. Czas na nową drogę naprzód".

Wielu członków arcylojalnej niegdyś gwardii Trumpa w sprzeciwie wobec koryfeusza umocniła napaść na Iran. W kampanii wyborczej głosił on kres wojen na innych kontynentach, obiecywał niższe ceny – i co? Niewywiązanie się z przedwyborczych przyrzeczeń ubodło nie tylko świtę, lecz i wielu zahipnotyzowanych dotąd fanów. Niespełnienie obietnic to jedno, przebieg inwazji – drugie. Wąskie grono apologetów, zazwyczaj z rządu, prezentuje się żałośnie i groteskowo, gdy usiłuje bronić porażki irańskiej przed indagacjami.

Obecnie psychicznie przeżuwany jest fakt ujawniony w początkach sierpnia: zabrakło rakiet. Skończyły się albo już się kończą (wystrzelano ich 80 proc. do ponad 13 tys. celów w Iranie). Brakuje i tych obronnych (Patriot, THAAD), i tych do ataku, np. JASSM. Na ukończeniu są zapasy precyzyjnej amunicji. To dlatego po pohukiwaniach o „dekapitacji" i „rozgromieniu" Iranu Trump wykonał piruet, ogłaszając kolejne zawieszenie broni. Korespondenci donoszą o atakach rosyjskich rakiet balistycznych na Ukrainę. Czy Rosjanom także się kończą? Nie, mają zapas, produkują szybko nowe – twierdzą eksperci. W mózgach Amerykanów, tych myślących, wykluwa się upokarzające pytanie: to jakie z nas supermocarstwo?

Równolegle z tym, jak rozpada się pierwsza linia obrony kłamstw Trumpa, kurczy się krąg konsumentów propagandy, którą obrońcy kreują. Widownia prawicowego podcastera Bena Shapiro na YouTube spadła z 27 do 4 mln. Wizyty na platformie Trump Media zmniejszyły się o 36 proc. Duży ubytek odwiedzających odnotowuje też portal Nicka Fuentesa. Wyjątek w tym towarzystwie, to ultraprawicowa ciemnoskóra influencerka Candace Owens, karmiąca odbiorców teoriami spiskowymi z gatunku *idiot fiction*.

Zapiąć pasy i słuchać

Uwiąd prawicowej machiny propagandowej nie mógł przyjść w gorszym momencie: 2,5 miesiąca przed wyborami parlamentarnymi, w których – jak pokazują sondaże – republikanie dostaną łupnia. Przyczyny trafnie diagnozuje Ryan Broderick, wydawca newslettera „Garbage Day": „Większość propagandy, którą trumperzy usiłują ludziom wciskać, nie trafia do przekonania tak jak jeszcze 3-4 lata temu". Dziś publika pyta: czemu wszystko drożeje? Dlaczego znów wojujemy, nie wiadomo po co, na drugim końcu świata, kosztem życia młodych ludzi i setek miliardów dolarów?

Jest segment prawicowego świata, w którym kult Trumpa zdaje się nie słabnąć. Za sprawą specyfiki wiary, która nie poddaje się myśleniu… To środowisko protestanckich fundamentalistów ewangelickich. Im także frekwencja spada, lecz wpadli na nowatorski pomysł. Prawią kazania w lecących samolotach, do bezbronnych pasażerów. Ewangelistka z Orlando Whitney Lynn tak to uzasadnia: „Oni nie mają wyboru, muszą słuchać słów prawdy". Hemant Mehta, twórca kanału „Friendly Atheist" przyznaje: „Niestety, personel lotniczy niewiele może z tym zrobić. Są przepisy, jak postępować z pasażerami, którzy są agresywni, nie słuchają poleceń, ale głoszenie kazań niekoniecznie przekracza granicę. Stewardessy mogą ich prosić o zaniechanie". Ostatnio stewardessy wyprowadzają kaznodziejów z samolotów, o ile uda się ich zidentyfikować jeszcze na ziemi.

Wydarzenia polityczne w USA rozgrywają się na wielu scenach jednocześnie. Ludzie nie mają czasu ich przetrawić nie zareagować, a dziennikarze głębiej skomentować. Prócz awantury irańskiej, dołującej gospodarki, drożyzny i inflacji, na przełomie lipca i sierpnia Ameryka żyła kongresowymi przesłuchaniami Todda Blanche'a. Trump, idąc w ślady Kaliguli, postanowił uczynić Blanche'a – swego prywatnego adwokata – ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym. Blanche od półtora roku jest w kierownictwie departamentu odwetu na przeciwnikach Trumpa (dawniej Departament Sprawiedliwości), jako zastępca szefa, a potem pełniący jego obowiązki. Zapisał się decyzjami dowodzącymi bezapelacyjnej służalczości wobec bossa, machinacjami drastycznie nieetycznymi i z reguły sprzecznymi z prawem.

Dwaj senatorzy republikańscy odważyli się na sprzeciw. Domagali się, by Blanche na piśmie zadeklarował, że nie użyje – jak nakazał mu Trump – 1,8 mld dol. ze skarbu państwa do wypłacenia „odszkodowań" prawicowym bandytom ukaranym za szturm na policję i budynki Kongresu 6 stycznia 2021 r. Senatorzy żądali, by Blanche pisemnie unieważnił także drugie polecenie Trumpa: uwolnienie jego oraz rodziny od dochodzeń związanych z przestępstwami finansowymi. Blanche przez tydzień się opierał, wreszcie stosowne oświadczenie napisał. Kompletnie pozbawione wagi prawnej. Senatorzy (wszyscy demokratyczni byli przeciw) z ulgą zagłosowali za jego nominacją. Sprawa pokazuje moralny odór reżimu.

Zarażeni wścieklizną

Trump przeminie, wszystko wróci stopniowo do normy – pocieszają konserwatywni republikanie starej daty, wymieceni ze swojej partii. Inni snują prognozy bardziej pesymistyczne. Przypominają, że mamy do czynienia nie tylko z patologicznym fenomenem Trumpa, lecz z klasą polityczną, która się cynicznie sprostytuowała, spełnia karnie wszystkie jego żądania. W przyszłości ich młodzi, pozbawieni skrupułów i zahamowań następcy zajmą kierownicze stanowiska na prawicy. „Nadchodzi pokolenie niekompetentnych idiotów, zarażonych polityczną wścieklizną" – mówi portalowi Politico starszy rangą republikański doradca kongresowy. – Oni spędzili dekadę w Waszyngtonie, doskonaląc się w ślepej lojalności ideologicznej, która zastąpiła kompetencje i inteligencję". „Ugrupowania prawicowe jak Heritage Foundation wykreowały dekalog konserwatywnych pryncypiów ulepionych z gliny MAGA, którym przywabiają młodych ludzi z poważnymi zaburzeniami osobowościowymi i psychologicznymi" – dodaje grupa informatorów (czterech doradców kongresowych, pracownicy prawicowych *think tanków*, także akademicy). Anonimowy młody prawnik z ekipy Trumpa zwraca uwagę, że prawicowy narybek cechuje swoiste „znamię nazistowskie". Dr E.J. Fagan z Uniwersytetu Illinois uważa, że winę ponoszą prawicowe media społecznościowe. Kolejny informator Politico ostrzega przed „pokoleniem zarażonym teoriami konspiracyjnymi Candace Ovens i Tuckera Carlsona. Za 5-8 lat, jeśli będziemy polegać na ludziach o takim widzeniu świata, znajdziemy się w poważnych tarapatach".

Może Iran i wyniki wyborów Trumpa nie obchodzą? – nad tym duma ostatnio nie tylko coraz więcej zwykłych Amerykanów, lecz także kongresowi żołnierze prezydenta. „Dla Trumpa najważniejsze są jego monumentalne, obłąkane projekty – mówi prominentny psycholog i neurolog dr Frank George. – Waszyngtońska sala balowa i 76-metrowy łuk triumfalny, tandetnie przerabiany zbiornik wodny Reflective Pool". Maggie Haberman z „New York Times" w nowej książce „Zmiana reżimu" pisze, że te projekty pochłaniają 70 proc. jego uwagi. „On kreuje swą pośmiertną mitologię – twierdzi dr George. – Portretuje się jako twórca, zbawca, bohater, ucieleśnienie Ameryki".

Coraz więcej szczurów republikańskich obserwuje to z narastającym strachem; spoglądają za burtę, sposobiąc się do skoku.

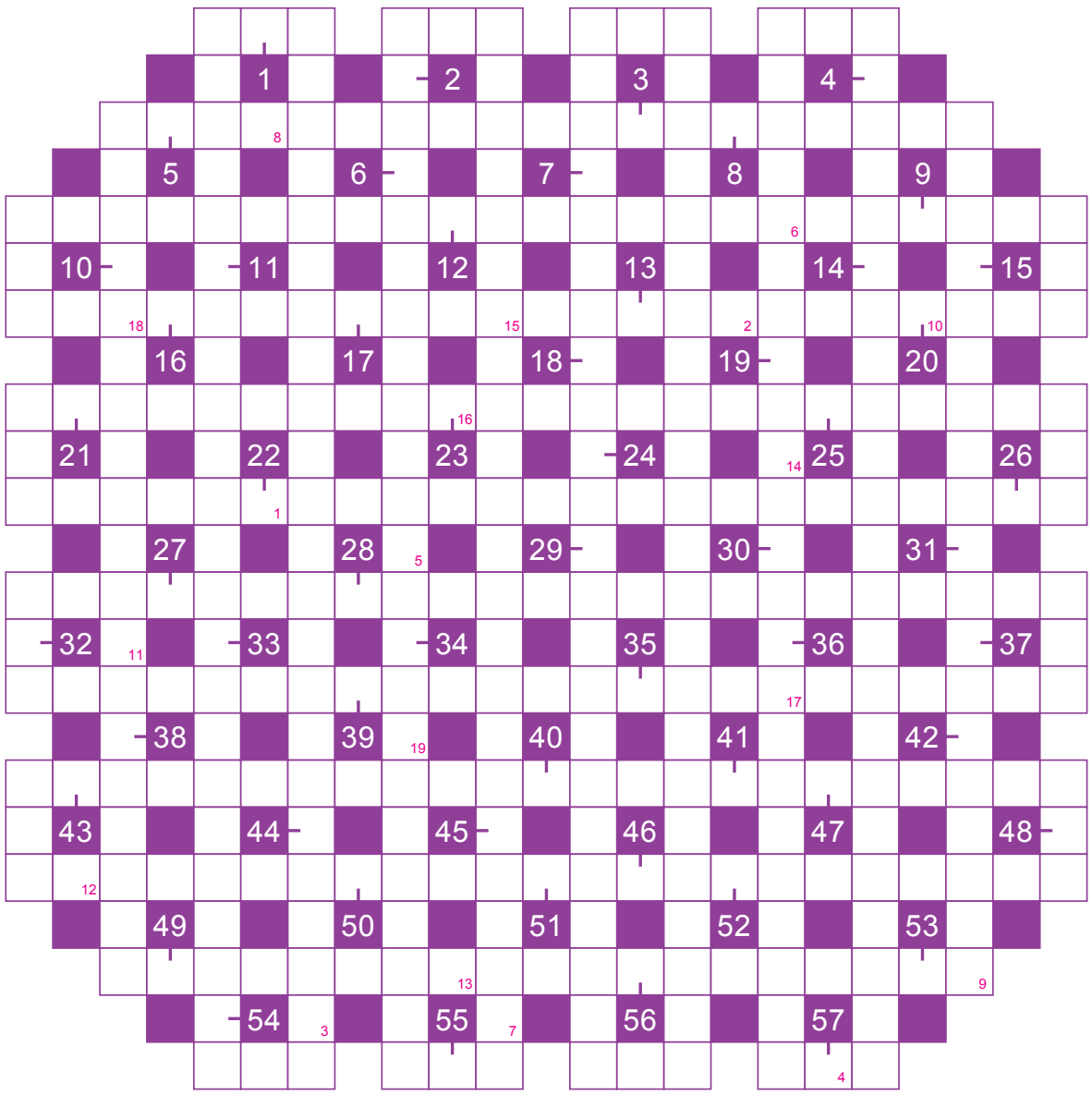
Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl ea5ad11293

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) brak na liście obecności, 2) sądowe starcie stron, 3) większy i groźniejszy kuzyn osy, 4) zamyka się z kliknięciem, 5) nóż składany do kieszeni, 6) umiera ostatnia, 7) dawne naczynie na atrament, 8) twardy kamień dający iskry, 9) kwaśna łodyga do kompotu, 10) mierzy ciśnienie powietrza, 11) chwytają mocniej niż palce, 12) pochlebstwo w tłustej postaci, 13) biały kwiat z warzywniaka, 14) naklejka lub zasady dobrego zachowania, 15) domowa impreza z tańcami, 16) cienka elastyczna przegroda, 17) dawniej tworzył obraz w telewizorze, 18) drży na talerzu po zastygnięciu, 19) domowe okrycie na piżamę, 20) miejsce pracy mechanika, 21) zwiastunka wiosny pod dachem, 22) obronna budowla przed bramą, 23) pomieszczenia ukryte za sklepem, 24) warzywo z kulistą łodygą, 25) taniec, w którym ubywa garderoby, 26) ruszenie przed sygnałem, 27) przedstawienie dla widowni, 28) zapas nabojów do walki, 29) broń myśliwego na ramieniu, 30) reklamowa broszura do rozdawania, 31) świeca na burzę i pogrzeb, 32) kościelne zwolnienie od obowiązku, 33) spina pasek lub ubranie, 34) pachnący dym przy ołtarzu, 35) gra w tłumie bez głównej roli, 36) odtwarza muzykę z czarnej płyty, 37) wielbłąd z jednym garbem, 38) czeka w ścianie na wtyczkę, 39) liczy, zapisuje i przetwarza dane, 40) dochodzenie prowadzące do sprawcy, 41) tył auta na walizki, 42) grzeje w łóżku gorącą wodą, 43) nadaje meblom lustrzany połysk, 44) ubiega się o stanowisko lub nagrodę, 45) policja działająca ponad granicami państw, 46) szeroki widok na okolicę, 47) miejsce, gdzie trafiają odpadki, 48) prowadzi orkiestrę bez grania, 49) miejsce pracy tłoka, 50) wybór najlepszych przez eliminację, 51) twardy włoski ser do tarcia, 52) hormon pilnujący poziomu cukru, 53) szerokie okrycie bez rękawów, 54) średniowieczna wyprawa pod znakiem krzyża, 55) krytyczna opinia o dziele, 56) podłogowa wykładzina z rolki, 57) mocna racja w dyskusji.

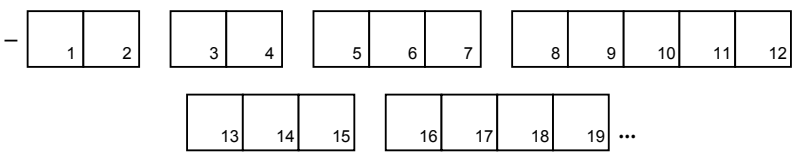


Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Żona do męża:
– Widziałam, że nasz sąsiad całuje swoją żonę codziennie, jak idzie do pracy, dlaczego ty tego nie robisz?

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 31/2026:
„A PRÓBOWAŁAŚ ZMIENIĆ PTAKA?”.
Nagrody otrzymują: Joanna Szofer z Brod, Danuta Wojciechowska ze Śremu, Józefa Sorokosz z Jaworzna.



Dęta zmiana na Podlasiu

Kiedy przed tygodniem szykowaliśmy opowieść o orkiestrach mundurowych, wojewoda podlaski spotykał się z wojskowymi, by porozmawiać na temat, który właśnie podjęliśmy…

Jacek Brzozowski, wojewoda podlaski, zaprosił do swojego gabinetu zastępcę dowódcy Garnizonu Warszawa generała brygady Damiana Matysiaka oraz zastępcę szefa sztabu Wojska Polskiego ds. wsparcia płk. Tomasza Kanię. Temat był tylko jeden: powstanie podlaskiej orkiestry wojskowej. Bo najbliższe Białegostoku Giżycko ma taką i Siedlce też taką mają; od dawna zresztą. A przecież Białystok to też *Jewropa*.

Zielone światło temu pomysłowi od razu dał szef resortu obrony Władysław Kosiniak-Kamysz, pozostaje więc tylko znalezienie odpowiedniego miejsca, gdzie przyszła orkiestra będzie ćwiczyć dęcie w trąby i walenie w talerze. Ale to problem chwilowy, bo wojewoda Brzozowski razem prezydentem Białegostoku Tadeuszem Truskolaskim coś na pewno znajdą. W najgorszym wypadku armia zaanektuje jakiś budynek. Forsy ma bowiem jak lodu, również na etaty dla muzyków w mundurach. Bawcie się dalej, panowie, bo świetnie wam to wychodzi. Oczywiście, najlepiej w rytm hitu: „Niby nic, a tak to się zaczęło, niby nic, zwyczajne *pa pa pa*”.

WJK

REKLAMA



FAKTY PO MITACH
NA POCZCIE

3 300
– tyle placówek Poczty Polskiej sprzedaje nasz tygodnik.

Jeśli nie wiesz, gdzie nas znaleźć – odwiedź pocztę.

Jeśli chcesz, by w przyszłości „FpM” były sprzedawane w Twojej placówce – przekaż tę prośbę pracownikom punktu.

Jesteśmy z Wami i dla Was!!!

Redakcja

eprasa.pl ea5ad11293



Mrożone desery wywodzą się prawdopodobnie z kuchni azjatyckiej. Niektóre źródła podają, że ich pomysłodawcami są Chińczycy.

Koneserzy.pl

Lodowe wynalazki

Przygotowując się do pisania tekstów często konsultuję się z moimi znajomymi. Ostatnio jeden z maili trafił na drugi koniec świata aż do Filadelfii do Marzeny, która przysłała mi przepis na lodową kanapkę. Zatem mroźny cykl jeszcze się nie zakończył.

Kanapka lodowa

„O leguminach lodowych nie słyszałam, dopóki nie natknęłam się na artykuł o lodach kanapkowych. Trzeba upiec ciasto typu brownies. Wymieszajcie 2 szklanki cukru, ⅓ szklanki kakao (bez cukru), 1,5 szklanki mąki, 1 łyżeczkę soli. Następnie dodajcie 1 szklankę oleju roślinnego, 4 duże jajka (po kolei), 1 łyżkę ekstraktu waniliowego. Całość przelejcie do prostokątnej blachy, równo rozprowadźcie i pieczcie 15-20 minut. w temp 200°C. Po wystudzeniu przetnijcie placek na pół, tworząc dwa cieńsze prostokąty. Teraz czas na lody – półtora litra ulubionych gotowych lodów najpierw doprowadźcie do konsystencji smarowania, następnie rozprowadźcie na dolnym placku. Na wierzch połóżcie drugi placek i przykryjcie nim lody. Całość ciasno owińcie folią plastikową, a potem aluminiową. Kanapkę lodową można przechowywać w zamrażalniku w całości lub pokrojoną na porcje (ułożone w pojemnikach) 2-3 miesiące”.

A skoro jesteśmy po drugiej stronie Atlantyku, pomyślałam, że zainteresują Was inne amerykańskie przysmaki.

Frozen passion, czyli zamrożona namiętność

Ten przepis pochodzi z 1972 r. z reklamy mleka skondensowanego słodzonego i elektrycznej zamrażarki do lodów. „Połączcie 2 puszki skondensowanego słodzonego mleka i 56 uncji (jak podpowiada AI, uncja to w przybliżeniu – w wersji amerykańskiej – 29,57 ml; w codziennej praktyce najczęściej przyjmuje się zaokrąglenie do 30 ml – J.C.) napoju gazowanego. W bardzo dużej misce wymieszajcie oba składniki. Przelejcie do maszyny do lodów i zamroźcie zgodnie z instrukcją. Możecie też przelać do dużego garnka i zamrozić, mieszając co 30 minut, aż płyn całkowicie zniknie”.

Czytelniczka jednego z amerykańskich kulinarnych blogów z czułością wspominała lody, które robiła jej babcia z mleka skondensowanego, gazowanego napoju o smaku wiśniowym i wiśniowego likieru. A w mojej „Wielkiej amerykańskiej kuchni” wydanej w 1991 r. łączy się 2 puszki słodzonego skondensowanego mleka z dwulitrową butelką lub 5 puszkami, po 350 g każda, napoju gazowanego o dowolnym smaku. Jest tam też przepis na koktajl „pasja” – trzeba zmiksować pół puszki skondensowanego mleka słodzonego, puszkę (340 g) piwa imbirowego i 3 szklanki lodu. Koktajl powinien być miksowany bardzo dokładnie, a jego resztki można przechowywać w zamrażarce.

Ice cream float

Ten deser jest trochę zbliżony do lodowej namiętności, ale jednak się od niej różni. Właściwie trudno sprecyzować, do jakiej kategorii go zaliczyć. Lodów czy napojów? A może po prostu to tylko zwykła woda gazowana z lodami. W Australii i Nowej Zelandii nazywa się go spider (pająk), ponieważ z lodów po zetknięciu się z dwutlenkiem węgla w wodzie powstaje coś przypominającego pajęczynę.

Sam pomysł podawania lodów w tej formie podobno pochodzi z Filadelfii. Wymyślił go Robert M. Green w 1874 r., podczas obchodów półwiecza Instytutu Franklina. W jednej z historii o początkach tego deseru wspominał, że tego dnia panował wyjątkowy upał i zabrakło mu lodu do sprzedawanych napojów gazowanych, więc aby je schłodzić, dołożył do nich lody waniliowe. Kilka lat później Green opowiadał jednak, że chciał w ten sposób odciągnąć klientów od konkurencji, u której był większy wybór smaków syropów do wody. Wymyślił więc połączenie lodów waniliowych z wodą gazowaną, które polewał jednym z 16 syropów smakowych, czym wywołał sensację. Podobno w testamencie zamieścił zapis, aby na jego nagrobku wyryto: „Twórca lodów gazowanych”.

Ale jak to zwykle bywa, sukces ma wielu ojców, więc później jego były pracownik George Guy twierdził, że to on już w 1872 r. zmieszał lody z napojem gazowanym, co spodobało się klientom.

W Stanach Zjednoczonych, choć nie tylko tam, istnieje niezliczona liczba rodzajów tego typu lodów, cieszących się większą lub mniejszą popularnością. Na przykład, w Meksyku popularne są wersje coca-coli z lodami kokosowymi i likierem kawowym Kahlua, coca-coli czekoladowej z lodami waniliowymi i coca-coli z czerwonym winem z lodami cytrynowymi, dodatkiem płynnym bywa też gazowany napój winogronowy lub piwo korzenne, które nie jest wcale piwem, ale napojem przejętym od Indian przez Europejczyków, który stał się popularny w czasach prohibicji.

Moda towarzyska z 1894 r., czyli lody smażone

Moja przyjaciółka z podstawówki jadła ostatnio w Płocku na deptaku smażone lody, reklamowane jako nowość. Wszystko wskazuje na to, że i ten deser ma amerykańskie korzenie, choć często łączy się go z kuchnią meksykańską lub azjatycką. Jednak kiedy zaczęłam szukać informacji na ten temat, wyczytałam, że coś podobnego pojawiło się na obiedzie 10 lutego 1802 r., na którym był senator Samuel Latham Mitchill oraz prezydent Thomas Jefferson, znany także z tego, że wyjątkowo lubił lody i przyczynił się do ich spopularyzowania w USA. Senator miał podobno wspominać jako ciekawostkę, że na koniec obiadu podano lody w formie kulek zamkniętych w ciepłym cieście, co tworzyło ciekawy kontrast, jakby lód dopiero co wyjęto z pieca.

Niektórzy znawcy kuchni wiążą powstanie smażonych lodów z rokiem 1893 i Wystawą Światową w Chicago, a inni uważają, że stworzyła je rok później filadelfijska cukiernia, choć nikt nigdy nie podał jej nazwy. Wiadomo tylko, że zostały najpierw opisane w „New York Timesie”, a potem w prasie pojawiła się reklama, w której opisano smażone lody jako „najnowszą modę towarzyską”.

Dziś wiadomo tylko, że smażone lody stały się modne w Tokio w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a stamtąd rozprzestrzeniły się na inne azjatyckie kraje. Zresztą, czy to ważne, kto był pierwszy?

Jak je zrobić?

Najlepsze będą lody domowe lub rzemieślnicze, bo są mniej napowietrzone. Zacznijcie od ich wygałkowania, a potem zamroźcie. Roztrzepcie 2 jajka z łyżką cukru pudru – będą kleiste i świetnie pokryją zmrożone lody. Kolejna warstwa to panierka, czyli np.: bułka tarta, drobno zmielone orzechy, wiórki kokosowe. Wyjmijcie gałki lodów, zanurzcie je w masie jajecznej, a następnie otoczcie w panierce i... ponownie zamroźcie. Ten etap można powtórzyć, by stworzyć grubszą warstwę! Rozgrzejcie olej do 175°C i zanurzcie lody do zrumienienia w głębokim smażeniu. Podajcie natychmiast! ●

eprasa.pl ea5ad11293

Kapelmistrz Titanica



Z gadziej perspektywy

O sobie mówi niezwykle skromnie: „Jestem dzisiaj twarzą Prawa i Sprawiedliwości, jeśli chodzi o kampanię programową, i oficjalnym kandydatem PiS na urząd premiera”.

I, co muszę koniecznie dodać, także profesorem i jednym z najbardziej znanych intelektualistów partii prezesa Kaczyńskiego. Twarz PiS nie boi się dziennikarzy i zadawanych przez nich pytań. Nawet tych podchwytliwych, z jakimi musiała się ostatnio zmierzyć w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Do Rzeczy”. Pismu uważanemu za katolickie, narodowe i prawicowe. Jednoznacznie popierające kiedyś prezesa Kaczyńskiego i jego PiS. Dziś przede wszystkim adorujące prezydenta Nawrockiego i obficie prezentujące poglądy liderów Konfederacji. Także Korony Polskiej, zwłaszcza Grzegorza Brauna.

Pewnie dlatego na pytanie „Czy porzekadło *Co cię nie zabije, to cię wzmocni* adekwatnie opisuje sytuację w Prawie i Sprawiedliwości po wyjściu z partii grupy parlamentarzystów, z byłym premierem Mateuszem Morawieckim na czele?”. Twarz PiS odpowiada filozoficznie. Że generalnie nie jest zwolennikiem tego przysłowia. Bo „w bardzo wielu przypadkach w życiu to, co nie zabija, może poważnie okaleczyć”. Ale zaraz potem górę nad straumatyzowanym intelektualistą bierze Twarz Prawa i Sprawiedliwości.

Mordo ty moja!

I mówi, że w wypadku PiS nie ma mowy o zabiciu czy okaleczeniu tej partii. To jedynie „turbulencje, które nigdy nie są dobre dla jakiejkolwiek formacji i nigdy nie są dobre dla polskiej prawicy, ale to już za nami – robimy swoje, mamy propozycje programowe, dobrych, pracowitych parlamentarzystów, chętne do pracy struktury i walczymy o zwycięstwo”.

Będą walczyć dalej pomimo wrażej roboty Mateusza Morawieckiego, który „był w Prawie i Sprawiedliwości przez kilka lat. W 2019 roku szefował rządowi PiS”. Ale pojawiły się znane już w klasycznej filozofii niemieckiej procesy alienacji. Nie oparł się im Morawiecki, który od wyborów prezydenckich „zaczął wyalienowywać się z Prawa i Sprawiedliwości”. Bo „od dłuższego czasu planował odrębną strukturę polityczną i na pewno miało to wpływ na poziom poparcia dla PiS w ostatnich kilkunastu miesiącach”.

A przecież „jedność w PiS i pokój na prawicy to dwa warunki konieczne do tego, żeby Tusk został odsunięty od władzy. Nie ma wątpliwości, że odejście Mateusza Morawieckiego z grupą najbliższych współpracowników na pewno utrudnia przejęcie władzy od Tuska i ratowanie Polski. Z pewnością tego nie uniemożliwia. Dalej będziemy ciężko pracowali, by osiągnąć nasz cel”.

Kiedy padają słowa „Tusk” i „ratowanie Polski”, to każdy ideowy polski prawicowiec sięga po przysłowiowy rewolwer. Dlatego redakcja „Do Rzeczy”, też obficie krytykująca rozłamowców Morawieckiego, pewnie wycałowałaby odpytywaną Twarz PiS. Zwłaszcza kiedy nawija ona jak swojska mordeczka.

Wina Tuska

Twarz przypomina, że „mamy do czynienia z ukrainofilami w polskim rządzie, z ludźmi, którzy dodatkowo są usposobieni antypolsko, jeśli chodzi o polskie interesy narodowe. Tusk został tu zainstalowany przez Brukselę w 2023 roku nie po to, by bronić polskich interesów, ale by reprezentować obce. Ukrainofilstwo dużej części rządu, to również efekt działania Tuska”.

I na dowód tego rzecze: „Śledziłem bacznie statystyki dotyczące przestępczości i mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że przez cały czas, kiedy byłem w rządzie, przestępczość wśród Ukraińców przebywających w Polsce utrzymywała się na niskim poziomie”. Ale nastał Tusk, znany proniemiecki ukrainofil, i zachęcił Ukraińców do zbójowania w Polsce.

Twarz PiS przyznaje, że „zwycięstwo Ukrainy nad rozpędzonym Putinem jest Polsce rzeczywiście potrzebne. W 2022 roku pomoc dla Ukrainy była koniecznością, bo stanęliśmy wobec śmiertelnego zagrożenia ze strony Rosji”. Choć rosyjskie zagrożenie nie minęło, to relacje przyszłego rządu PiS z Ukraińcami będą miały charakter wyłącznie transakcyjny. Broń za ekshumacje pomordowanych Polaków i szacunek okazywany Polakom przez ukraińskie media. I „przede wszystkim zagwarantowanie udziału Polski we wszystkich dyskusjach związanych z pozycją Ukrainy w przyszłości”.

Pakt z konfederackim diabłem

Jednak PiS nie wróci do władzy bez wsparcia pozostałej prawicy. Dlatego Twarz PiS pokornieje i apeluje: „Chciałbym ponowić apel o wyciszenie sporów. Kieruję go szczególnie do Konfederacji, bo zdecydowanie więcej uderzeń kierowanych jest ze strony Konfederacji w naszą stronę niż odwrotnie. Bez zgodnego działania tam gdzie się da, zwycięstwa prawicy nie będzie”.

I wtedy pada najważniejsze pytanie. O współdziałanie całej polskiej prawicy podczas wyborów do Senatu RP, zwane paktem senackim. Czy kaczyńskie PiS będzie wtedy współpracowało z Koroną Grzegorza Brauna?

„Osoby utożsamiające się z panem Grzegorzem Braunem, które są gośćmi moskiewskich salonów, są przyjmowane przez ministra Ławrowa i występują w telewizji Russia Today, bardzo agresywnie reagując wobec PiS”, to ludzie „z którymi na pewno nie da się niczego wspólnie zbudować”. Podobnie z ludźmi, którzy „stają w obronie pomników czerwonoarmistów”, negują „świętość, papiestwo Jana Pawła II”. Ale jest nadzieja, że w przyszłym Sejmie znajdą się reprezentanci Korony „o innych poglądach”.

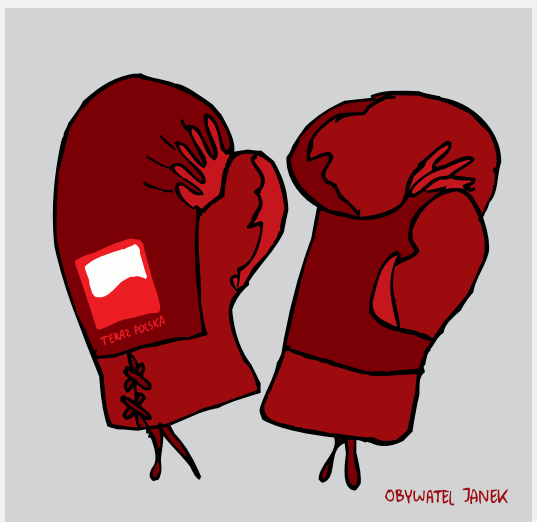
Okazuje się, że Twarzy PiS zupełnie nie przeszkadza antysemityzm, negowanie Unii Europejskiej, a nawet sojuszu z USA, deklarowane często przez twarze Korony. Dyskwalifikują występy w rosyjskich mediach. Zatem paktu senackiego z Koroną Brauna kaczyńskie PiS nie podpisze. Poza tym „da się rządzić bez tego paktu, jak w naszej drugiej kadencji w latach 2019-2023” – przypomina Twarz PiS.

Na koniec raz jeszcze Twarz PiS „apeluje nieustanie o pokój na prawicy”. Przypomina, że „z PiS nie jest tak źle, jak sugerują to prorządowe media. Mówienie o drugiej partii w Polsce, jeśli chodzi o poparcie polityczne, że tonie, jest grubą przesadą”.

Tym żegna się obsadzony w roli Twarzy PiS poseł Przemysław Czarnek.

Piotr Gadzinowski

WITAMY W KLUBIE



Z powodu przedłużających się upałów klimatyzacja w Najtklubie klęknęła i przeżegnawszy się zdechła. Zapanowała duchota porównywalna do warunków w sali szpitala pod patronatem enefzetu. O. Oktan, właściciel Najtklubu i Kasyna w jednym, nie chciał nawet słyszeć o zamknięciu przybytku, gdyż oczekiwał na delegację Babć Maryi z sąsiedniego Osiedla, które wraz z miejscowymi matronami miały oddać się urokom hazardu właśnie w jego przybytku. Staruchy za wszelką cenę chciały wygrać Wielką Kumulację w Bingo i za uzyskane pieniądze wybudować pomnik Jotpe Drugiego na dachu jednego z wieżowców i jednocześnie ustanowić rekord najwyższego pomnika tegoż jegomościa. Wygrana oczywiście nie była możliwa, gdyż Oktan sterował całym procesem gry i wygrywała tylko podstawiona osoba, aby wyprane w ten sposób pieniądze z nielegalnego handlu – pędzonym w piwnicach kościelnych – „mszalnym” burbonem mogły lądować na prywatnym koncie klechy. Cały personel Najtklubu zagroził strajkiem, jeżeli Oktan nie zorganizuje klimy. Ten natomiast wyciągnął zza pazuchy weksle od wszystkich i zażądał natychmiastowej spłaty. Miał haki na każdego. Musieliśmy z podkulonymi ogonami wracać do swoich zajęć. Ja wróciłem do cieciowania, Mięśniak Stacho do ochraniania, Parkingowy Henio do parkowania, kelnerki do kelnerowania, Romek z parteru do domu, a o. Oktan do mamienia, okradania i oszukiwania ludzi.

Tak to jest na tym świecie, że każdy ma w nim swoje miejsce, odpowiadające ukształtowanej od wieków roli w społeczeństwie.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl ea5ad11293

Spod kardynalskiego kapelusza

Odpowiedzialność po katolicku



Pojęcie odpowiedzialności ma charakter wielowymiarowy. Do różnych znanych definicji koniecznie trzeba dodać jeszcze jedną – odpowiedzialność katolicką.

Przed tygodniem w felietonie „Prawda was wyzwoli, jak kardynał o tym nie zapomni", pisałem o niezwykle krótkiej pamięci kard. Stanisława Dziwisza. Wykazał się nią podczas toczącego się procesu, jaki archidiecezji krakowskiej wytoczył dziś przeszło pięćdziesięcioletni Janusz Szymik, który jako zaledwie dwunastoletni ministrant był ofiarą wielokrotnych gwałtów homoseksualnych, jakich dopuszczał się proboszcz jego rodzimej parafii ks. Jan Wodniak.

W tym felietonie pragnę zwrócić uwagę na inny, moim zdaniem niezwykle ważny, aspekt tej bulwersującej sprawy – jak instytucje kościelne podchodzą do kwestii odpowiedzialności za wyrządzoną dziecku krzywdę. Wiemy, że katoliccy katecheci uczą dzieci, iż jednym z warunków dobrej spowiedzi jest szczery żal za grzechy i zadośćuczynienie za popełnione złe czyny. Najmłodsi już wiedzą, że aby dostać od swojego spowiednika rozgrzeszenie, muszą wynagrodzić wyrządzone przez siebie krzywdy. Ale czy pamięta o tym kardynał Stanisław Dziwisz? W tym wypadku odpowiedź nie jest już tak jednoznaczna.

Dziwne nominacje

Powróćmy na salę krakowskiego sądu i przypomnijmy kilka istotnych faktów. Po pierwsze, do dzisiaj nie jesteśmy w stanie jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego ktoś taki jak ks. Stanisław Dziwisz został sekretarzem i kapelanem metropolity krakowskiego abp. Karola Wojtyły. Przecież już wtedy było wiadomo, że Dziwisz nie miał żadnego doświadczenia duszpasterskiego, a opinie o nim jego dotychczasowego proboszcza świadczyły, że nie był wybitnym intelektualistą, za to budził „wątpliwości natury obyczajowej". Ale to właśnie na niego postawił młody wówczas metropolita krakowski abp Karol Wojtyła.

Po drugie, jak wytłumaczyć fakt, że kiedy kard. Karol Wojtyła został wybrany na papieża, na swojego następcę na tronie metropolity krakowskiego wyznaczył ks. Franciszka Macharskiego, który w ciągu zaledwie kilku miesięcy został kardynałem, a swoim osobistym sekretarzem oraz kapelanem zrobił właśnie ks. Jana Wodniaka? Już wtedy wśród krakowskiego kleru krążyły o Wodniaku mało pochlebne opinie, bo jako kleryk w seminarium pod Wzgórzem Wawelskim miał rzekomo ujawnić swoje seksualne preferencje. A mimo to właśnie na niego postawił nowy metropolita krakowski abp Franciszek Macharski.

Nie wiemy, co spowodowało, że w 1984 r. ks. Jan Wodniak został zwolniony z zaszczytnego stanowiska i w trybie nagłym trafił na plebanię w Międzybrodziu Bialskim na Żywiecczyźnie. Jedno nie ulega wątpliwości: za te dwie nominacje spowiedników odpowiadają metropolici krakowscy, którzy wiedzieli, kim tak naprawdę są ich kościelni wybrańcy.

Poszukiwania winnych

Po trzecie, kiedy na wokandzie sądowej pojawiła się głośna medialnie sprawa Janusza Szymika, zarówno archidiecezja krakowska jak i diecezja bielsko-żywiecka, wzajemnie zrzucają na siebie odpowiedzialność za pedofilskie zachowania ks. Wodniaka. Na słynnej ulicy Franciszkańskiej w Krakowie słyszymy interpretację, że ks. Wodniak to kapłan diecezji bielsko-żywieckiej, bo do niej należy parafia w Międzybrodziu Bialskim, więc wszelkie ewentualne roszczenia finansowe należy tam właśnie kierować.

Ksiądz Jan Wodniak urodził się w Bielsku Białej, ale był wychowankiem seminarium krakowskiego i to w czasach, gdy jego rektorem był ks. prałat Franciszek Macharski; późniejszy kardynał i metropolita krakowski. W 1974 r. to kard. Karol Wojtyła osobiście wyświęcił diakona Jana Wodniaka na katolickiego księdza. Dodam, na kapłana archidiecezji krakowskiej, a nie bielsko-żywieckiej, bo takiej jeszcze nie było. Jan Paweł II w 1992 r. dokonał reorganizacji diecezji w Polsce i utworzył – głównie z terenów archidiecezji krakowskiej – diecezję bielsko-żywiecką. Jej pierwszym ordynariuszem mianował swojego wychowanka i bliskiego współpracownika w Watykanie ks. Tadeusza Rakoczego; kolegę z seminarium i przyjaciela ks. Stanisława Dziwisza. Nominacje te papież szczegółowo konsultował z kard. Franciszkiem Macharskim, a ks. Tadeusza Rakoczego osobiście konsekrował na biskupa bielsko-żywieckiego w Bazylice św. Piotra w Rzymie. (Przy konsekracji asystowali mu kard. Angelo Sodano i kard. Franciszek Macharski).

Wiara i gwałt

Kiedy w połowie lat osiemdziesiątych XX w. na plebanii w Międzybrodziu Bialskim ks. Jan Wodniak brutalnie gwałcił dwunastoletniego ministranta, był kapłanem archidiecezji krakowskiej. Został tam skierowany przez swojego kościelnego pryncypała kard. Franciszka Macharskiego, który był wówczas jego bezpośrednim przełożonym. Kto zatem ponosi odpowiedzialność moralną za krzywdę Janusza Szymika? Spada ona i na diecezję bielsko-żywiecką, bo kiedy powstała w 1992 r. dorosły już Janusz Szymik, poinformował o swojej tragedii bp. Tadeusza Rakoczego, wówczas bezpośredniego kościelnego przełożonego ks. Jana Wodniaka. Ale hierarcha ten – wychowanek papieża Jana Pawła II i kard. Franciszka Macharskiego, a także seminaryjny kolega (jak twierdzi „przyjaciel" ks. Stanisława Dziwisza, także późniejszego metropolity krakowskiego i kardynała) – nic nie zrobił w tej sprawie. Przez lata ukrywał seksualnego oprawcę przed organami ścigania i wszelką odpowiedzialnością prawną, zarówno w wymiarze prawa karnego jak i kanonicznego. Dopiero po długim czasie, za pontyfikatu papieża Franciszka, emerytowany już ordynariusz bielsko-żywiecki bp Tadeusz Rakoczy został kanonicznie ukarany za ukrywanie kościelnych dewiantów na terenie swojej diecezji.

Podczas krakowskiego procesu kard. Dziwisz publicznie wspomniał także swojego przyjaciela bp. Rakoczego, „który do tej pory cierpi za to, że został niewinnie ukarany". Takie oburzające słowa były dużym zaskoczeniem dla wszystkich, tym bardziej, że zostały wypowiedziane w obecności Janusza Szymika, o bólu którego kardynał zapomniał. Tak właśnie wygląda odpowiedzialność w kościelnej wersji.

Niech płaci państwo

Ale jest i czwarta odsłona tej sprawy. Otóż – co podkreślał kilka razy jeden z dwóch obecnych na sali sądowej adwokatów archidiecezji krakowskiej – ks. Jan Wodniak był przez długie lata tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Pełnomocnik strony pozwanej jest przekonany, że funkcjonariusze SB wiedzieli o seksualnych dewiacjach swojego kościelnego informatora, a także, że gwałci ministrantów; i nic z tym nie zrobili. Faktycznie nie można tego wykluczyć.

Jako historyk Kościoła, który przez długie lata dokonywał lustracji polskiego kleru w oparciu o zachowane archiwa Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie, mogę nawet założyć, że seksualne dewiacje ks. Jana Wodniaka mogły być bezpośrednim powodem jego werbunku przez służby PRL. Jednak trudno mi się zgodzić z adwokatem, twierdzącym, że w związku z tym, iż ks. Wodniak był donosicielem bezpieki, to odpowiedzialność za jego gwałty na nieletnich ministrantach spada na funkcjonariuszy SB. W konsekwencji – według kleru – na Skarb Państwa, który teraz winien wypłacić Januszowi Szymikowi finansowe zadośćuczynienie, zamiast pozwanej w tym procesie archidiecezji krakowskiej. Absurd, bezczelność...?

Nie ma dowodów, że funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa uczestniczyli z duchownym w tych gwałtach albo za pomocą pistoletu go do nich zmuszali, więc zrzucanie na tym etapie procesu całej odpowiedzialności na Skarb Państwa, a więc na nas wszystkich, polskich podatników, jest doprawdy niezwykle przewrotną interpretacją pojęcia odpowiedzialności. No, chyba, że mówimy o pojęciu odpowiedzialności po katolicku...

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MiTACH
TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
III kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl ea5ad11293



ZAORANE

Zambrów

Kołysanka na dobranoc? Zbyt czasochłonna. Wiatrówka działa szybciej. 38-latek strzelał z balkonu do przejeżdżających samochodów, bo – jak tłumaczył policji – hałas przeszkadzał jego dzieciom w zasypianiu. Uszkodził dwa auta powodując straty oszacowane na 12 tys. zł; grozi mu do 5 lat odsiadki. Czy dzieci docenią poświęcenie ojca? Może, gdy dorosną…

Kędzierzyn-Koźle

Myślistwo w Polsce wkracza na nowy poziom. 44-latek polował na miejskie koziołki; nocami na rowerze i z siekierą. Odrywał z popularnych rzeźb fragmenty z brązu, zakopywał je na własnej posesji, licząc na późniejszy zarobek w skupie metali. U niektórych myśliwych sezon łowiecki rozpoczyna się wraz z otwarciem monopolowego. W tym przypadku limit odstrzału wyznaczać miał cennik skupu złomu.

Legnica

Nie trzeba jechać do Lichenia. Policjanci z komendy miejskiej uzdrawiają i nawet nie chcą za to pieniędzy. Udali się do mieszkania mężczyzny poszukiwanego listem gończym. Na miejscu przekonywał on, że nie stawił się do więzienia, bo od 6 lat nie chodzi z powodu schorzeń kręgosłupa i oczekuje na decyzję sądu w sprawie zmiany sposobu odbywania kary. Kiedy mundurowi sprawdzali jego dokumenty, mężczyzna nagle wstał, wskoczył na parapet otwartego okna i zagroził, że wyskoczy. Cud! Tylko czekać na pierwsze pielgrzymki.

Radom

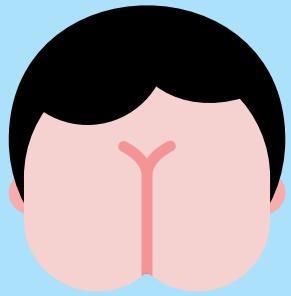
W Miejskim Urzędzie Pracy praca wre. Dwoje pracowników znalazło nawet nowy sposób na zwiększenie produktywności – zamknęli się w jednym z pomieszczeń i oddali czynnościom dalekim od poszukiwania ofert zatrudnienia. Odgłosy „rozkoszy" usłyszeli koledzy, a dyrektor rozwiązał z parą umowy. Być może dzięki pośredniakowi odnajdą swoje nowe powołanie, np. w branży rozrywkowej dla dorosłych. Referencje mieliby świetne.

Sokołowice

Tym razem konkurs na Matkę Roku wygrywa 40-latka, która po pijaku (0,69 promila alkoholu w organizmie) straciła panowanie nad kierowanym Fiatem Seicento i uderzyła w drzewo. W strachu przed konsekwencjami uciekła z miejsca wypadku, zostawiając w aucie 7-letniego syna. Byłoby jeszcze „lepiej", gdyby wsadziła młodego za kółko i kazała mu wziąć winę na siebie.

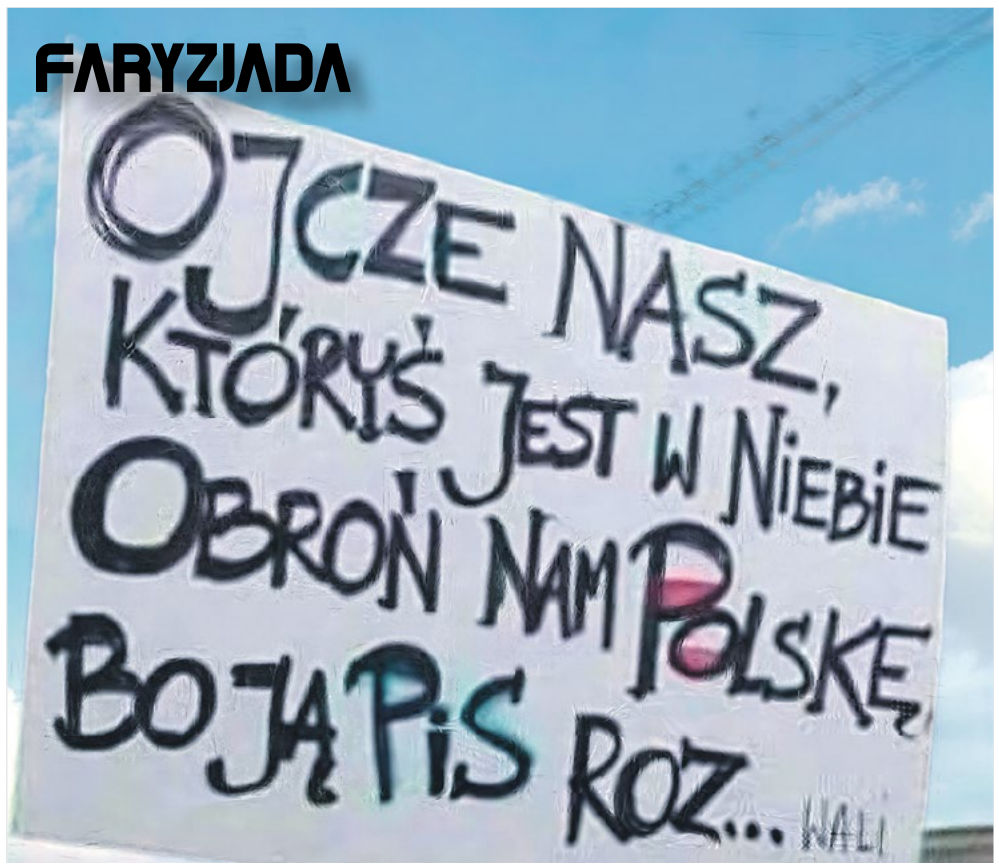
Z PiSiej pupy się wyrwało:

(…) żadne wrzaski lumpenproletariatu tego nie zmienią. Jestem pewien, że przyjdzie dzień zwycięstwa i ukarania tych, którzy tutaj są…



Jarosław Kaczyński
poseł







„Strategicznym interesem Polski jest też to, żeby nie powiewały w Warszawie i w Polsce banderowskie flagi. Można pomagać i można wymagać, można współpracować po partnersku, można się rozumieć w zasadniczych kwestiach, taka jest nasza wrażliwość".

Karol Nawrocki, prezydent

„(…) nieznane osoby po raz kolejny dopuściły się profanacji miejsca pamięci (…). Do tego incydentu dochodzi na tle narastającej liczby przejawów wrogości wobec Ukraińców w Polsce, w tym doniesień o aktach agresji i atakach na obywateli Ukrainy"

Komunikat Ambasady Ukrainy w Warszawie

„Nie wolno być obojętnymi wobec pełznącego banderyzmu zatruwającego społeczeństwo polskie".

Prof. Włodzimierz Osadczy

***

„Główną wadą tego rządu, który mamy dzisiaj, to jest to, że to jest rząd, który realizuje obcą, a w gruncie rzeczy, przede wszystkim niemiecką agendę w Polsce. (…) Musimy dążyć do stworzenia rządu, który będzie miał na celu naszą wolność i godność, naszą siłę".

Jarosław Kaczyński, poseł PiS

„To państwo nie jest praworządne, bo ta praworządność (…) nie ma nic wspólnego z zasadami państwa prawa, z porządkiem naszego domu. (…) Rozliczymy ich nie z zemsty – dla porządku, bo tego wymaga praworządność i sprawiedliwość społeczna".

Przemysław Czarnek, poseł PiS

***

„Minął pierwszy rok prezydentury Karola Nawrockiego. To był rok dotrzymanych zobowiązań i konsekwentnej realizacji obietnic z kampanii".

Mariusz Błaszczak, poseł PiS

„Chyba nigdy w III RP, z mojej perspektywy, nie było lepiej. Karol Nawrocki nie boi się wetować, nie boi się być krytykowany, jeżeli rząd tworzy złe prawo".

Krzysztof Bosak, lider Konfederacji

„Co najmniej 7 mld zł straciliśmy na wetach Nawrockiego. Zawetował wpływy z wielu źródeł, w tym opłatę od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych zarabiających krocie na blokadzie Ormuz. Działa na szkodę nas wszystkich (…)".

Krzysztof Brejza, europoseł KO

„Takie uderzanie w budżet tylko dlatego, żeby pokazać, że im gorzej dla rządu, im gorzej dla Polski, polskiej gospodarki, tym Nawrocki jest silniejszy, to uważam jest skandaliczne".

Barbara Nowacka, ministra edukacji

Opr. J.D.C.

eprasa.pl ea5ad11293